Miesięcznie 1 zł. 1 egz. 30 groszy.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 11 października 1936 r. Nr. 41



Pieśń skończona... Życie kona...
Przeszła wiosna strojna kwiatem...
Przekwitnęły lipy latem...
Zgasła jesień z róż szkarłatem...
Zmilkły w bzach słowicze głosy...
Żniwiarz zżął ostatnie kłosy...
Przekwitnęły smutne wrzosy...
Życie kona... Pieśń skończona.

(Elsmond — „Koniec pieśni".)

WOJCIECH HOLM

2)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

ROZDZIAŁ V.

Węzły krwi

Zamek Königswalden był to stary, imponujący gmach z szarego granitu, który stał już przez kilka wieków, bluszczem opleciony, co mu nadawało bardzo miły wygląd.

Wnętrze było urządzone zbytkownie i wspaniale, a przytem bardzo gustownie. Nie było przeładowania. Wszystko wydawało się potrzebnym i dobrze ustawionym.

Miękkie dywany smyrneńskie tłumiły odgłos kroków.

Z pomiędzy liści palmowych, marmurowe postacie spoglądały na pokoje, na których ścianach wisiały obrazy nieliczne, ale bardzo wartościowe.

Wśród tego szeregu wspaniałych pokoi wyróżnia się jeden prostotą urządzenia, stare ciężkie meble z orzechowego drzewa, ściany obite tapetą skórzaną, a przy ścianie tylko półka na książki, pochodząca już z nowych czasów i odżywiająca starożytną atmosferę pokoju, nie rażąc wcale odmiennością stylu.

Było to ulubione miejsce pobytu starego hrabiego Heriberta, właściciela dóbr Wildensteinu i Königswalden, dziadka hrabiego Wernera. Hrabia, staruszek przeszło siedemdziesięcioletni, o wysokiej, okazałej postaci, rysy miał regularne, jakby wykute z kamienia. Poznać było łatwo, że ani zbytnia czułość, ani pobłażliwość nie były jego żywiołem. Podwładni jego mieli w nim surowego, ale sprawiedliwego pana.

Synowi okazywał mało serca, chociaż śmierć jego zadała sercu starca niezabliźniającą się ranę. Synową,która po śmierci męża była jeszcze w kwiecie wieku i piękności, strzegł, jak cerber, aby nie zawierała nowego małżeństwa, dopiero, gdy się przekonał, że hrabina Rut dochowuje wierności zmarłemu mężowi i nie myśli o powtórnem zawarciu związków małżeńskich, polubił ją tembardziej.

Gdy i ona w młodym wieku umarła, opłakiwał jej zgon szczerze i tem goręcej zajął się wnukiem, Wernerem.

Kochał go bardzo, ale swoim zwyczajem miłości tej nie okazywał.

Werner nie przypominał sobie, żeby go kiedy dziadek pieścił i całował.

Hrabia Heribert bardzo troskliwie starał się o materialne i duchowe wyposażenie wnuka.

Przyjął dla niego wytrawnego wychowawcę, wysyłał go w dalekie podróże i chociaż z dumą spoglądał na dorastającego młodzieńca, to jednak nigdy tego nie okazywał, a przecież kochał go tak, że dla niego byłby swą siwą, dumną głowę pod miecz katowski położył. Przecież to był ostatni potomek jego rodu.

Hrabia siedział teraz przy biurku, na którym leżały papiery i w białej, arystokratycznej dłoni trzymał arkusz zwyczajnego, lichego gatunku papieru listowego. Brwi miał zmarszczone podczas czytania treści tego listu, a przeczytawszy, podarł go, wrzucając do kosza z papierami.

— Anonim, bezimienny list — pomyślał ze wzgardą, — Nie wierzę, Werner nie zrobi nic takiego, czegoby się mógł wstydzić, najwyżej, żartował z jakąś piękną niewiastą.

Pocisnął guzik kościany, znajdujący się obok jego biurka.

Na odgłos dzwonka elektrycznego, wszedł stary służący, siwy jak gołąb, stanął w pokornej postawie przy drzwiach i zapytał:

— Pan hrabia rozkaże?

— Gerhardzie, — zawołał hrabia — jesteś starym, wiernym sługą.

— Pan hrabia bardzo łaskaw — z radością odpowiedział sługa. — Zaszczyt to dla mnie i radość służyć panu hrabiemu, tak samo, jak moim ojcom było zaszczytem służyć dostojnym przodkom pana hrabiego.

— Wiesz — odparł hrabia — że nie lubię szpiegowania i nie każę wypatrywać tego, co wnuk mój robi. Teraz dostałem jakiś zuchwały anonim, oskarżający go niesłusznie. Wiem, że to zupełnie bezpodstawne, nigdy hrabia Wildenstein nie poniży się, ale mimo to pytam cię, czy są jakie pozory, przemawiające za tem, że hrabia Werner utrzymuje jaki stosunek na wsi? Czy często wyjeżdża na wieś?

— Na wieś, nie! — odparł służący z widocznem zakłopotaniem.

Zmieszanie się jego nie uszło bynajmniej uwadze hrabiego.

— Ukrywasz coś przedemną — rzekł — nie chcesz być denuncjantem.

— Ciężko mi zdradzać tak dobrego, łaskawego pana — niepewnym głosem odparł służący.

— Tu nie ma mowy, o zdradzie! — rzekł hrabia poważnie.

— Pan hrabia daruje, — odparł poważnie ale stanowczo sługa. — jeżeli powiem, że o wszystkiem dowie się wasza dostojność od samego młodego pana hrabiego.

— A więc to prawda! — rzekł ponuro hrabia, marszcząc brwi.

W tej chwili odezwał się na dziedzińcu tętent kopyt końskich.

Hrabia wyjrzał przez okno i zobaczył swojego wnuka.

Na pięknym koniu, dorodny młodzieniec wyglądał, jak uosobienie młodości i piękna.

— Jest. — szepnął hrabia. — Powiedz panu hrabiemu, że zaraz chcę z nim mówić.

W kilka chwil potem wnuk stał przed surowym dziadkiem.

ROZDZIAŁ VI.

Burza.

Hrabia bacznie i ostro patrzał na wnuka przez dobrą chwilę i twarz mu się rozjaśniła. — Werner nie mógł zrobić wstydu naszemu rodowi — pomyślał sobie i już się wstydził swego podejrzenia i nie chciał go poprostu wypowiedzieć. Rzekł więc:

— Uważasz, kochany, że ród nasz jest na wymarciu. Ty jesteś ostatnim jego członkiem.

— Jestem młody — odparł Werner.

— Ale o małżeństwie mógłbyś już pomyśleć.

— Dziadek myśli moje uprzedza. Rzeczywiście nie mam goręszego życzenia nad to, żeby się jak najprędzej ożenić.

— Ach! — zawołał hrabia — i z kim? Czy z hrabianką Dornbruch, czy z baronówną Hardenfels?

— Nie — odpowiedział Werner, otwarcie patrząc dziadkowi w oczy. — Moja wybrana nie ma ani dziewięcio ani siedmiopałkowej korony, jest córką zwykłego obywatela.

— Co? To ty, odszczepieńcze, splamiłbyś herb nasz takim związkiem? To tak nadużywasz wolności, którą ci, głupi, dałem? Mylisz się, jeżeli sądzisz, że na to pozwolę. Masz się w najkrótszym czasie ożenić tak, jak to nakazuje honor naszego domu. Nie zapominaj, co jesteś winien naszemu staremu, dostojnemu rodowi. Przysięgnij mi, że zaniechasz każdej myśli o tej chytrej i przewrotnej istocie, która na ciebie swe sidła zastawiła.

Ostatnie słowa hrabiego wywołały rumieniec gniewu na twarzy Wernera, a oczy jego ciskały błyskawice, gdy mówił:

— Dama, którą wybrałem za małżonkę, mój dziadku, zasługuje na największy szacunek z twej strony.

— Jak się nazywa ta dziewka? — zawołał hrabia, blady z gniewu.

— To anioł, któregoby się tron nie powstydził. Nie my do niej się zniżamy, ale ona do nas.

— Wariacie zaślepiony, co to za jedna? Jak się nazywa?

— Dowiesz się, gdy ona będzie moją żoną! — rzekł Werner.

— Chytra awanturnica ma zostać hrabiną Wildenstein i Königswaldu? Mylisz się, że pozwolę, abyś splamił honor naszego rodu? Ja cię wydziedziczę!

— To mnie nie powstrzyma od poślubienia mojej narzeczonej — przerwał Werner — Możesz mnie wydziedziczyć, ale Felseg, spuścizny po mojej matce, nie możesz mi zabrać, a to mi wystarczy. Jestem pełnoletni i zamierzam prosić cię o pozwolenie i błogosławieństwo tylko z pietyzmu.

— To się nazywa pietyzm?! — z goryczą zawołał hrabia. — Lecisz w przepaść i nie dajesz się zatrzymać. Wiesz co zrobię, jeżeli się nie wyleczysz z tego obłędu? Dziś jeszcze zatelefonuję do Egona. On po tobie jest najbliższym moim spadkobiercą po śmierci Ernesta nieboszczyka. Tysiąc razy byłbym wolał Ernesta, bo Egona nie lubię, a jednak jemu zapiszę wszystko, jeżeli ty się nie opamiętasz.

— Jeżeli opamiętaniem się, nazywasz opuszczenie tej, którą kocham, to zapewniam cię, że to nigdy nie nastąpi.

— Więc ta dziewka więcej dla ciebie jest warta niż twe imię, majątek i szacunek współobywateli? — rzucał się hrabia. — Zaślepieńcze! Przecież ją garścią guldenów możesz zadowolnić, a chcesz jej wszystko poświęcić?

— Czy sądzisz, dziadku, że oddałbym serce tak niegodnej osobie? Przysięgam ci, że moja wybrana jest dobra i czysta jak anioł.

— W twoich oczach. Ale w oczach świata jest ona tylko dziewką, która temu się odda, co lepiej zapłaci.

— Stój! — zawołał Werner. — Każde takie słowo plami mój honor.

— A więc to prawda, to nie oszczerstwo — jęknął hrabia. — Tyś naprawdę wyciągnął rękę po cudzą żonę.

— Nie rozumiem ciebie! — dziwił się Werner.

— Nie po żadną cudzą żonę, tylko po narzeczoną, którą chcę poślubić.

— A więc zwyczajna, czerwona, pyzata dziewka wiejska — wołał hrabia załamując ręce. — Werner, opamiętaj się, póki czas. Wybaczę ci wszystko, a jej wynagrodzę zawód tak hojnie, że będzie miała cały rój wielbicieli. One to bardzo chętnie widzą, jeżeli im się brzęczącą monetą wnagradza bóle.

— Jeżeli twoja Kaśka, czy Ksenia będzie miała w posagu porządne gospodarstwo, to jej przyszły zamknie na wszystko nie jedno, ale dwoje oczu.

Werner zaczerwienił się po uszy.

— Te słowa — rzekł, dysząc — dzielą nas na wieki. Obraziłeś najczystsze i najszlachetniejsze uczucia nasze, a istotę czystą jak anioł, postawiłeś na równi z temi, którym nic nie jest święte. Od tej chwili zerwałeś ze mną. Wyjeżdżam do Felsegu i tam przygotuję wszystko na przyjęcie mojej małżonki.

— Tego nie zrobisz, chłopcze! — groźnie zawołał starzec. — Raczej wolę cię widzieć umierającego i w trumnie, niż kalającego nasze nazwisko. Przysięgam ci, że wszystkich środków użyję, żeby temu zapobiec. Wynajdę tę dziewczynę, a gniew mój ją zmiażdży.

— Bardzo po rycersku! — szydził Werner — wojować z kobietami. Nie wiedziałem, że hrabia na dobrach Wildenstein i Königswalden może się tak zapomnieć, żeby bezbronną i niewinną dziewczynę zabijać.

Hrabia zbladł i opamiętał się.

— Masz rację — rzekł — dam jej pokój, ale z tobą wojna, dopóki na klęczkach nie będziesz prosił o łaskę.

— Raczej zginie hrabia Wildenstein, nimby się upokorzył! — rzekł z dumą Werner. — Zginąć mogę, upokorzyć się nie. Wojnę przyjmuję. Obyś nigdy tego nie żałował, że ostatniego z rodu wypędziłeś od siebie!

To rzekłszy, odwrócił się i z dumnie podniesioną głową wyszedł.

Ponuro spoglądał za nim dostojny dziadek.

ROZDZIAŁ VII.

Wiosna życia raz tylko zakwita.

Werner kochał dziadka i spór ten bolał go bardzo. Bolało go to, że dziadek tak niesprawiedliwie osądzał Sylwię.

Za nic w świecie nie byłby teraz powiedział dziadkowi, kto jest jego narzeczona, bo instynktownie bał się o nią.

Nad jego szczęściem zawisła chmura i przygniatała go swem brzemieniem.

Ale nie długo to trwało.

Obraz kochanej dziewczyny rozjaśnił mu mroki duszy i wygładził zmarszczki twarzy.

— Ciebie bym miał opuścić? — szeptał. — O, przenigdy! — odpowiedział sobie zaraz.

Wstał i z kosztownej szafy wyjął jakąś drogocenną kasetę.

Otworzył ją.

Z wnętrza uderzyło go w oczy morze światła.

Porównał w myśli diamenty te i blask ich z blaskiem i głębią oczu Sylwii i uśmiechnął się.

Wybrał największy pierścień z największym diamentem.

Był to pierścień zaręczynowy matki jego, hrabiny Rut, schował go do kieszeni.

Kazał sobie osiodłać konia i wyjechał.

— Młody pan dopiero wrócił i znowu jedzie, — dziwiła się służba.

— Co to ciebie obchodzi — upominał stary stangret.

Tymczasem Werner jechał na leśniczówkę. Tam zeskoczył z konia, przywiązał go do lipy, sam zaś wszedł do ogrodu. Między drzewami bowiem zobaczył swoją ukochaną.

W kilka chwil był u jej boku.

Ona przywitała go z uśmiechem i zarumieniła się.

— Panno Sylwio, — rzekł, patrząc na nią czule. — Czy mogę panią o coś spytać?

Jedyną odpowiedzią jej był rumieniec i spuszczenie w dół oczu.

Tu wziął ją za rękę.

— Panno Sylwio — rzekł — czy pani mogłaby mnie troszkę, troszeczkę tylko pokochać?

— Nie! — odrzekła.

— Co? — zawołał zdziwiony i strwożony. — Pani mnie nienawidzi? Wstrętny jestem dla ciebie?

Sylwia podniosła duże niebieskie oczy a w nich ujrzał uszczęśliwiony całe niebo miłości.

— Kochasz mnie — zawołał gorąco. — O, ty mnie kochasz!

Objął ją i po raz pierwszy usta jego dotknęły drżących ust kochanki.

— Kochasz mnie? — powtarzał szeptem, całując wciąż. — Kochasz mnie?

— Kocham, — odpowiedziała z głośnym uśmiechem — ale nie troszeczkę, trochę, tylko bardzo!

— Najdroższa, najukochańsza, moja ty! — wołał w uniesieniu, tuląc ją do siebie.

Nagle Sylwia zbladła i wysunęła mu się z objęć.

— Boże! — szepnęła. — Co ja zrobiłam! Otworzyłam ci tajemnicę serca, zdradziłam się, że cię kocham, teraz ty mną pogardzisz.

— Kochać cię będę i czcić do śmierci! — przysięgał Werner — o, moja kochanko, narzeczono moja, raz jeszcze mi powiedz, że mnie kochasz.

— Niewypowiedzianie najdroższy! — rzekła i główkę złożyła na jego piersi, jakby się chroniąc.

— O, dzięki ci — szepnął wzruszony i na palec jej włożył pierścień z diamentem. — Teraz jesteś moją! — rzekł uroczyście.

— A twój dziadek — spytała trwożnie dziewczyna — pozwoli na to?

— Upór jego zmięknie z czasem — odpowiedział Werner. — Zresztą jestem pełnoletni, a dziedzictwo po matce mojej jest moją niezaprzeczalną własnością.

Sylwia z pod słów tych bystro dostrzegła wszystko, co zamilczał przed nią.

— Mówiłeś z dziadkiem — rzekła, jakby w jasnowidzeniu. — Wydziedziczeniem ci groził!

— A jeśli tak? — spytał z uśmiechem. — Ciebie mi nie zabierze, ani Egonowi nie zapisze, gwiazdo mego życia. Przysięgnij i ty mi wierność dozgonną.

Przysięgła cicho, potem poprosiła, by ją zaprowadził do rodziców.

— Zawsze dzielę się z nimi radością — rzekła biedna Sylwia.

Ile to razy śnieg upadł na groby jej rodziców. Nie przeczuwała nawet tego!

Tak rosła w nieświadomości.

Teraz udała się do mniemanych rodziców, z nieśmiałem przeczuciem szczęścia, wiodła narzeczonego.

Hertert z żoną ze strachem zobaczyli zbliżających się pod ramię młodych.

— Sylwio! — zawołała pani Magdalena. — Co to znaczy?

— Niech się pani nie gniewa! — czule przemówił Werner. — Sylwia właśnie uszczęśliwiła mnie, godząc się zostać moją żoną.

— A dziadek pański? — spytała z bijącem sercem. — On przecie na to nigdy nie pozwoli!

— Jestem pełnoletni i ślub mogę wziąć bez niego! — stanowczo odpowiedział młody hrabia.

— Panie hrabio, panie hrabio! — upominała kobieta. — Błogosławieństwo rodziców daje szczęście dzieciom! Strzeż się pan przekleństwa dziadka. Może ta miłość pańska jest tylko chwilowa, może prędko ustąpi obojętności, a tu pan traci prawie cały majątek!

— Niech pan się dobrze namyśli i jej czas zostawi do namysłu. Niech pan wyjedzie w świat, albo do Wildensteinu na jakiś czas. Przez ten czas pozna pan, czy miłość ta jest w istocie tak silna, by przetrwać mogła wszystkie burze życia.

— Z Sylwią się rozłączyć nie zdołam — odpowiedział Werner. — zdaje mi się, że chwilkę bez niej żyć bym nie mógł, proszę, błagam was, dajcie mi jej rękę, a całe życie moje poświęcę na to, by ją uszczęśliwić. Wyczytam jej z oczu każde życzenie, nim je wypowie i spełnię, proch jej będę zmiatał z przed stóp i nieba jej przychylę. Będę jej najlepszym przyjacielem i doradcą, obrońcą i mężem. Spadku po dziadku nie dostanę, ale Felseg wystarczy, by nam zapewnić życie bez trosk.

— I całe dziedzictwo po dziadku poświęci pan dla niej? — wzruszony pytał Herbert.

— Tron i koronę i berło złote oddałbym za nią! — wołał Werner. — O, wy nie możecie pojąć jak ją kocham! Dla niej pracować chcę ciężko, dla niej niczego się nie zlęknę, nie będzie dla mnie trudu za wielkiego, za wielkiej męki, byle być z nią, byle ją mieć za żonę u swego boku! Nie zabierajcie mi tego szczęścia, a ja ją szczęściem obdarzę.

Mówił tak rzewnie i czule, że Magdalenie łzy stanęły w oczach. Werner zaś mówił dalej:

— Rodziców nie mam, prawdziwej miłości od dawna nie zaznałem, ani ciepłego ogniska domowego. Może u was znajdę ten skarb, będę waszym synem i dzielić będę z wami radość i bóle. Ja wam do śmierci dochowam za to serce pełne wdzięczności.

Herbert był niezdecydowany.

Miłość gorąca przemawiała za młodymi, przeciw nim, inne ważne względy.

Stary wahał się.

Błagalny wzrok Sylwii przeważył szalę na jej stronę.

Wzruszonym głosem błogosławił ich. Werner okrzykiem radosnym uścisnął Sylwię, wołając w uniesieniu:

— Moja, moja na wieki!

ROZDZIAŁ VIII.

Gwałt

— Gerhardzie! — mówił stary hrabia do służącego — hrabia Werner chce mi działać na przekor.

— Niech Pan Bóg broni — odrzekł służący — nie odważy się.

— Myślisz, spytał hrabia z gorzkim uśmiechem — bo ja nie. Hrabia Werner chce poślubić ordynarną dziewkę wiejską, ale ja mu w tem przeszkodzę, jak mi Bóg miły.

— Jaśnie panicz jest już pełnoletni — wtrącił nieśmiało lokaj.

— W metryce — odpowiedział ironicznie hrabia — ale w rzeczywistości nie. Opiekuna potrzeba mu koniecznie i ja nim będę dla niego, mimo jego woli. Mam świetny plan, by złamać jego upór. Znasz podziemne sklepienia zamku Felseg?

— Na miłość Boską — przeraził się lokaj — jaśnie pan chciałby tam uwięzić jaśnie panicza?

— Wszystko tylko dla tego, aby go uchronić od popełnienia nierozważnego kroku. On sam będzie mi kiedyś wdzięczny.

— Ależ to nie wolno!

— Czyż myślisz, że mój własny wnuk wystąpi przeciwko mnie jako oskarżyciel? Tego on nie zrobi. W podziemnem więzieniu krew mu się ostudzi, upór zmięknie i za kilka dni on sam zgodzi się na zawarcie małżeństwa odpowiedniego naszemu stanowi.

Gerhard nie podzielał nadziei pana, ale już nic nie mówił.

Hrabia jednak wyczytał z twarzy jego pewne wątpliwości.

— Nie zapominaj — rzekł — że to mój wnuk, moja krew.

— Jaśnie pan daruje — odrzekł nieśmiało sługa — właśnie o tem myślałem. Jaśnie pan, proszę wybaczyć, nigdyby nie dał się odwieść od raz powziętego zamiaru i obawiam się właśnie o to, że młody jaśnie pan hrabia tak samo przy swojem postanowieniu zostanie.

— Zobaczymy — dodał hrabia — jestem pewny, że kilka dni jego pobytu w piwnicy uleczy go z miłości.

— Ależ to nie możliwem jest zwabić go do Felseg.

— On sam ma zamiar tam zamieszkać. Wyruszysz więc tam, aby poczynić przygotowania.

— Niech mnie jaśnie pan zwolni łaskawie od tego — rzekł przestraszony stary sługa.

— Taka to twoja wierność? — uczynił mu zarzut hrabia.

— Ja tak kocham jaśnie panicza — bronił się sługa.

— To głupia miłość — gniewał się hrabia. — Czy myślisz, że ja go nie kocham, że mnie to nie boli, że tak z nim muszę postapić? A jednak trzeba go radykalnie wyleczyć. Gdybyś prawdziwie i rozsadnie kochał hrabiego Wernera, pomagałbyś mi szczerze.

— Ja bym życie oddał dla jaśnie panicza.

— To wcale nie potrzebne. Masz tylko pojechać do Felseg, wywietrzyć sklepienia podziemne i przygotować się na przyjęcie Wernera.

— Jeżeli on tam zachoruje, albo z rozpaczy sam sobie coś złego zrobi?

— On jest dobrze zbudowany, zdrowie jego tam nie ucierpi, a samobójstwa jeszcze żaden z Wildensteinów nie popełnił.

Gerhard jeszcze zawsze nie był przekonany.

— Jeszczeby była ta trudność — opierał się dalej — że przecież dobrowolnie jaśnie panicz nie pójdzie do piwnicy.

Hrabia podał mu na to małą flaszeczkę z jakimś płynem.

— Podasz hrabiemu — rzekł — kilka kropel z niej do wina. Wskutek tego on uśnie i śpiącego zaniesiecie na dół.

— Na to trzeba dwóch mocnych ludzi.

— Masz do tego kasztelana Alojzego i stangreta Mayera.

— Mayera tam nie będzie. Pewnie go jaśnie panicz zostawi tutaj.

— Mayer musi jechać stanowczo z paniczem — odrzekł hrabia. — On dawno już chciał wywędrować. Dam mu tysiąc reńskich pod warunkiem, że wyjedzie zaraz za granicę. On jest mrukiem milczącym i on nie zdradzi naszej tajemnicy.

— A jeśli on wróci — opierał się jeszcze wciąż Gerhard — i będzie rozpowiadał, że jaśnie panicz siedział we więzieniu?

— Nikt mu nie uwierzy — zaśmiał się hrabia. — Przecież Werner za jakie pięć dni wróci do Königswalden i można będzie powiedzieć, że czas ten przepędził w Wiedniu lub Monachium.

— A jak to zrobić, żeby Mayer pojechał z paniczem? — zapytał lokaj.

— Poślij go do mnie. Każę mu ciebie odwieźć do zamku Felseg i pozostać do stanowczej chwili. Za godzinę odjazd. Szykuj się do podróży, naturalnie nikomu nie mów, dokąd.

— Według rozkazu, jaśnie panie, dałby Bóg, aby się to dobrze skończyło.

Był zdecydowany zrobić teraz wszystko, co hrabia mu kazał, a mimo to martwił się tem, że będzie musiał jako ślepe narzędzie hrabiego, działać wbrew woli ukochanego panicza. Z westchnieniem więc począł szukać rudego Mayera, aby go posłać do hrabiego.

ROZDZIAŁ IX.

Znudzony pobytem w Europie

Rudy Mayer stał przed swoim panem trochę zakłopotany, trochę przekorny.

— Słyszałem, mówi hrabia, że ci się więcej w Europie nie podoba?

Ryży woźnica spojrzał nań trwożnie.

— Ktoś mnie oczernił przed jaśnie panem.

Poznać było po nim, że odczuwał chęć zemsty nad tym, który go zdradził.

— Przeciwnie, — rzekł hrabia, — mówią, że jesteś milczący i że można liczyć na ciebie. Czy to prawda?

— Tak jest, jaśnie panie. Prosze mnie poddać próbie, a dam dowód, że to prawda.

— Zobaczymy — rzekł hrabia. — Zaprzegnij bryczkę, i zawieź Gerharda do Felseg. Tam zostaniesz tak długo, aż spełnisz dokładnie to wszystko, co ci każe zrobić Gerhard. Potem wrócisz do mnie i nikomu nie piśniesz słówka o tem, coś widział, słyszał i robił. Dobrze?

— Wszystko zrobię akuratnie, jak jaśnie wielmożny pan każe.

— Potem dostaniesz ode mnie 1000 zł i wyniesiesz się zagranicę.

Mayer poskrobał się w głowę.

— Jeżeli nie bedzie bez respektu — rzekł niedołeżnie — to może mi wolno spytać, czy nie nie będę miał robić takiego, co jest wbrew prawu?

— Nie, z ustawą karną nie wejdziesz w konflikt.

— I mimo to jaśnie pan da mi 1000 zł?

— Tak jest.

— Ale tylko pod tym warunkiem, że opuszczę Europę?

— Tak jest. Od dawna mówiono mi, że masz zamiar opuścić Europę, bo ci się nic tu nie podoba. Prawda to?

Mayer był zakłopotany tym, że hrabia mógł myśleć, że on narzeka na swój los u niego w służbie i usprawiedliwiał się niezgrabnie. Mówił, że całe życie był sługą i raz chciałby być już panem, że chciałby, aby dzieci jego miały lepszy los od niego.

— Bardzo słusznie! — potwierdził łaskawie hrabia. — Za pieniądze, które dostaniesz ode mnie, możesz w Ameryce kupić ziemię, a jeżeli będziesz pracowity i oszczędny, a żona ci będzie pomagać, możesz się jeszcze dorobić majątku. (C. d. n.)

KAZIMIERZ ŁAGANOWSKI

2)

Niebezpieczny Gość

Powieść

Zdzisław drgnął nieznacznie i zmarszczył brwi. Oczy jego zatrzymały się na stojącej w środku ogrodu altanie i pobiegły dalej w kierunku willi „Aurory". Twarz mu spoważniała.

— Nie wiem — odparł po chwili. — Może w ciszy i samotności szukałbym zapomnienia. Może zostałbym mnichem... Czy ja wiem?...

— Mnichem?... Ha! ha! ha! W takim razie oryginał z pana. Ja szukałbym zemsty. Rozumie pan? Zemsty!...

Rozmowa się urwała.

Zachowanie się Tulczyńskiego było tak dziwne, że Zdzisław uważniej zaczął go obserwować.

Młody człowiek marszczył czoło po którem przesuwały się ciemne chmury. Łuki czarnych brwi ściągały się często, a cała twarz miała w tej chwili wyraz skupionej zadumy. Widocznie przeżywał trapiące go myśli, a może układał jakieś plany na przyszłość?...

W pewnej jednak chwili uniósł głowę i bezmyślnie spojrzał przez płot do ogrodu. W tym samym momencie drgnął silnie i stanął jak wryty. Oczy zajaśniały mu nienaturalnym blaskiem, pierś uniosła się w szybkim oddechu, a ręka rozpaczliwie ściskała trzymaną laskę.

Zdumienie Zdzisława nie miało granic. Już począł obawiać się o stan zdrowia Tulczyńskiego, gdy przypadkiem spojrzał w kierunku jego wzroku i — również stanął w kamiennym bezruchu.

W ogrodzie bowiem znajdowała się jakaś dziewczyna. Ubrana była w jasną sukienkę, doskonale uwydatniającą jej wysmukłą kibić, sięgającą prawie ziemi. Na kształtne ramiona spadały miękkie pukle jasnych włosów, skręcających się w cudowne loki.

Była do nich zwrócona bokiem i pochylona nieco nad krzaczkiem jakiegoś kwiatu, mimo to można było ocenić wspaniale linie jej postaci i wyjątkową urodę.

Zdzisław pożerał ją oczyma. Wpatrywał się w piękny profil dziewczęcia takim wzrokiem, jakby już jej nie miał zobaczyć nigdy w życiu i jakby chciał wbić sobie w pamięć jej obraz na wieczne czasy. W miarę jak dłużej wpatrywał się w piękną dziewczynę, czuł, że ogarnia go dziwne wzruszenie i, że serce poczyna żywiej uderzać.

— Kto to może być? — myślał poruszony, nie śmiejąc, czy nie mogąc jeszcze zrozumieć całej prawdy. — O, Boże! Czyżby...

W tej chwili dziewczę wyprostowało swą postać i zwróciło w ich stronę uśmiechniętą twarzyczkę.

Zdzisław zadrżał i zbladł jak ściana.

— Janka! — wyszeptał. — Wielki Boże! To naprawdę ona... Janka moja umiłowana...

Rozdział II.

NIESPODZIEWANI GOŚCIE

Promienie słońca przeniknęły do obszernego pokoju, znajdującego się na parterze willi „Aurory", oźłacając go wokoło.

Pan Krański, zagłębiony w wygodnym fotelu, całkowicie oddany był poobiedniej drzemce. Na stoliku leżało w nieładzie kilka gazet, a niedbale przed niemi ułożony futerał z monoklem świadczył, że gospodarz czytał przed zaśnięciem.

W pewnej chwili dał się słyszeć z zewnątrz głośny warkot motoru.

Drzemiący zwolna otworzył oczy, przeciągnął się leniwie, potem ze zdziwieniem spojrzał w okno.

Przed willę zajeżdżała właśnie lśniąca limuzyna i stanęła przed otwartą furtą. Szofer wyskoczył szybko, aby otworzyć drzwiczki wysiadającym.

Pan Krański żywo zerwał się z fotelu, chcąc przygotować się na przyjęcie niespodziewanych gości. Zadzwonił na lokaja.

— Kto to być może? — myślał zaciekawiony, równocześnie starając przypomnieć sobie, czy kto nie zapowiedział na dzisiaj swej wizyty. — Czyżby kto ze znajomych? A może znowu jacy letnicy?... Czyste utrapienie...!

Nie dokończył myśli, gdy z korytarza dobiegły go głośne wykrzykniki, po których stanął jak wryty. Zanim zdołał zrozumieć całą prawdę, drzwi otworzyły się z hałasem i do pokoju wpadły dwie młode panienki. Jedna nieco wyższa, skoczyła do zdumionego gospodarza i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Ojczulek!

- Janeczka moja!

Pan Krański z miłością tulił do piersi swą jedynaczkę i potem długiem i badawczem spojrzeniem objął jej świeżą, nieco zarumienioną twarzyczkę.

— Janeczko — przemówił wreszcie wzruszonym głosem. — Jestem szczęśliwy, ogromnie szczęśliwy, widząc cię zdrową i tak świeżą. Dlaczego jednak nie uprzedziłaś mnie, że przyjeżdżasz?

— Wybacz ojczulku, ale chciałyśmy tobie sprawić niespodziankę.

— Chciałyśmy... Więc...?

Pan Krański odwrócił się i teraz dopiero spostrzegł drugą dziewczynę.

— Ależ córuś moja — zawołał z łagodnym wyrzutem w głosie. — Czy tak godzi się postępować?... Nie przedstawiłaś mnie jeszcze tej miłej panience...

— Janeczko — przemówił wreszcie wzruszonym radości zapomniał o niej zupełnie. Roześmiała się.

— Nie poznałeś tatku Iruśki... Irenki Żelowskiej, mej kuzyneczki?

— To Irenka?... — zawołał przyjemnie zdziwiony pan Krański. — No, patrzcie państwo, nie przypuszczałbym nigdy... Jaka to panienka z niej wyrosła! Bo też nie widziałem jej lat kilka, a wówczas dzieciakiem była jeszcze... No, chodź-że Ireczko. Uściśnij kochającego cię, choć nieznanego prawie, wujaszka...

Zarumieniona dziewiętnastoletnia panienka wpadła w rozwarte męskie ramiona, a w ślad za tem dało się słyszeć echo pocałunków, wyciśniętych na obu policzkach młodej dziewczyny.

— Nie wujku — przemówiła zmieszana takiem przywitaniem, Irena. — Znam cię dobrze. Wprawdzie nie widziałam wujka lat kilka, ale pamiętam jeszcze doskonale, jak wujek był u nas przed ośmiu laty. Miałam wtedy lat jedenaście i cieszyłam się ogromnie z tych odwiedzin. Pamiętam, że mama kazała mi być bardzo grzeczną dla wujka, gdyż wujek był zawsze jej najlepszym bratem.

Dobroduszna twarz starszego człowieka rozjaśniła się bardziej jeszcze. Ogarnął dziewczynę długiem spojrzeniem.

— Zmieniłaś się od tego czasu, Ireczko — rzekł, mrużąc powieki. — Wyrosłaś na bardzo ładną panienkę. Ho, ho!... Znam się trochę na tem. Masz w sobie dużo wrodzonej dystyngcji, ale też i dużo kokieterii Poznać to po twoich czarnych, śmiejących się oczach.

Obie dziewczyny zachichotały rozkosznie, a pan Krański uściskał je raz jeszcze.

— Śmiejecie się dzierlatki miłe, co?... Kto tam wie, coście robiły w czasie waszego pobytu w mieście. Hę?... Dlatego ostrzegam cię, moja czarnobrewo, abyś zbyt często nie pokazywała się na plaży i nie bałamuciła naszej niedoświadczonej młodzieży — mówił, napróżno starając się przyoblec w powagę.

— Nie obejdzie się bez tego — rzekła rozweselona Janka. — A wiesz ojczulku, jak długo u nas zabawi Ira?... Całe dwa miesiące!

— A to doskonale! — zawołał uradowany pan Krański. — Będziesz miała, Janeczko, odpowiednią towarzyszkę. Sama nudziłabyś się tutaj, choć w miesiącach letnich nie brak i u nas obojej płci gości z towarzystwa.

Janka uważniej spojrzała w twarz ojca, chcąc wywnioskować, czy poza ostatniemi słowami nie ukrywa coś jeszcze. Ale z twarzy pana Krańskiego, przynajmniej w tej chwili nie było można nic takiego wyczytać, jak tylko zadowolenie i nieukrywaną radość, jaką sprawił mu nagły i wcale niespodziewany przyjazd panienek.

Bo ani przez myśl mu nie przeszło, że tego dnia jeszcze ujrzy swoją jedynaczkę.

Janka Krańska od dwóch lat przebywała w Krakowie. Ojciec, dbając o należyte wychowanie jedynej córki, umieścił ją tam w bardzo porządnym „pensjonacie dla bogatej inteligencji", gdzie pod nadzorem sióstr zakonnych, miała uzupełnić swoje wykształcenie i równocześnie także przejść wyższy kurs gospodarstwa domowego. Pan Krański wiedział dobrze, że znajomość gospodarstwa domowego przyda się każdej kobiecie — prostej, czy z towarzystwa — a później, kiedy ta założy już własne ognisko domowe, znajomość taka jest niezbędną koniecznością życiową.

Janka przebywała więc na pensji w Krakowie, gdzie też poznała pełną życia i fantazji kuzynkę w osobie Ireny Żelowskiej. Do willi „Aurory" przyjeżdżała tylko na uroczyste święta, oraz letnie wakacje i wtedy dopiero pan Krański mógł dłużej cieszyć się widokiem ukochanej córki.

Z końcem czerwca tego roku Janka ukończyła pensję. Mimo to nie powróciła zaraz do tęskniącego za nią ojca. Natomiast pan Krański otrzymał długi list, w którym Janka donosiła, że wyjechała wraz z kuzynką do wujostwa Żalowskich, zamieszkałych w okolicy Krakowa i, że do domu przyjedzie chyba dopiero w sierpniu, aby już na stałe zamieszkać przy drogim ojcu.

Przyspieszony o cały miesiąc przyjazd Janki w towarzystwie Ireny Żelowskiej, uszczęśliwił niezmiernie pana Krańskiego. Śmiał się tedy, żartował niby młokos i przekomarzał się z dziewczynami, równocześnie wypytując je o wszystko dotyczące ich pobytu w Krakowie.

A dziewczyny szczebiotały na wyścigi, opowiadając o różnych zabawnych epizodach, zaszłych w czasie ich pobytu na pensji. Podwieczorkowy posiłek nie był w stanie ani na chwilę przerwać opowiadań.

Wreszcie kiedy dostatecznie już podzielono się wrażeniami, Janka zapragnęła obejrzeć dokładnie całą willę i „na własne oczy" ujrzeć wszystkie zmiany, zaszłe w czasie jej nieobecności.

Irena zgodziła się na to z ochotą i poprosiła pana Krańskiego, aby im towarzyszył.

— Potrzeba nam kogoś, który umiałby objaśniać wszystko po drodze — rzekła. — Czy wujek zechce być naszym przewodnikiem?

— Z przyjemnością, moje dzieci.

Panienki, wziąwszy się za ręce, lekko ruszyły przodem, za niemi zaś zdążał, uśmiechający się dziwnie tajemniczo, pan Krański.

Zwiedzili gabinet żeński, salon i bogato zaopatrzoną bibljotekę, a kiedy potem znaleźli się znowu na korytarzu, Janka wysunęła się naprzód i otworzyła jedne z najbliższych drzwi.

— Tu jest moja sypialnia — rzekła do kuzynki. — A tamta przyległa, będzie dla ciebie. Oba pokoje połączone są drzwiami.

Irena ciekawie rzuciła w głąb oczyma. Sypialnia była niezbyt wielka, ale urządzona z komfortem. Podłoga błyszczała szkliwem, a wytworne, gustownie zastawione meble były przybrane misternej roboty rzeźbami.

— Wiesz Janko? Trzeba będzie powiedzieć Melanii, aby uporządkowała wszystko — rzekł pan Krański. — gdyż w czasie twej nieobecności zaszły tu pewne zmiany. Zwłaszcza twoje ulubione kwiaty wyniesiono stąd na piętro, do pokoi zamieszkałych przez...

Urwał naraz.

Janka odwróciła się szybko.

— Zamieszkałych przez kogo? — zapytała.

Spojrzał na nią z jakimś dziwnym uśmiechem.

— Nie powiedziałem wam jeszcze, że mam dwóch bohaterów?... Są to mieszczuchy, którzy pragną zaznać dobrodziejstw słońca i powietrza tutejszego letniska. Zamieszkują dwa pokoje na piętrze. Jeden to młody i przystojny literat nazwiskiem Tulczyński, który kawalerem jest jeszcze...

Dziewczyny równocześnie podniosły na mówiącego roześmiane oczy i przesłały sobie wymowne spojrzenia.

— Drugi letnik, młodszy jeszcze, jest moim znajomym... Zresztą obaj są ludzie wykształceni, dystyngowane persony, szczególnie ten drugi.

Janka przystanęła, a odwróciwszy głowę, napotkała utkwiony w siebie jakgdyby śmiejący się wzrok ojca.

— Ojca znajomy — powtórzyła. — Któż to taki?...

— Tak, mój znajomy — odparł pan Krański, ignorując pytanie córki. — Bowiem poznałem go ubiegłego roku.

— Ubiegłego roku?... — powtórzyła bezwiednie Janka.

Irena odniosła wrażenie, że głos kuzynki drżał lekko. Może zdawało się jej tylko, ale takie same wrażenie odniósł także pan Krański.

Ten ostatni widząc nagłe pomieszanie córki, zmarszczył na chwilę brwi, lecz wnet twarz jego przybrała zwykły, dobroduszny wyraz, a potem spoważniała nieco. Zamyślił się nad czemś.

A Janka biła cię z opanowującemi ją myślami, jakie wywołały ostatnie słowa ojca. Jej ładna twarzyczka pokryła się lekką chmurką smętnej zadumy i pomieszania. Opanowało ją nagle dziwne i niewytłumaczone wzruszenie, któremu uległa bez żadnego ze swej strony oporu.

Aby jednak nie zdradzić się ze swym stanem, podeszła do okna i otworzywszy je, poczęła udawać, że całą jej uwagę pochłonął ogród.

Domyśliła się, że ojciec coś ukrywa przed nią. Bo cóż miały znaczyć te jego wszystkie niedomówienia?

— Młody znajomy letnik... poznawszy ubiegłego roku... — powtarzała w duchu, nie zdając sobie sprawy z tego dlaczego to czyni. — Któż to być może?... Dlaczego ojciec nie wymówił jego nazwiska? Czyżby to był „on"?!... A jeśli to „on"...

Czuła jak serce jej naraz poczyna prędzej uderzać.

— Ach! — westchnęła cichutko. — Pocóż się łudzić napróżno. Zdzisław pewnie dawno o mnie zapomniał...

Tak się przejęła tą myślą, że zapomniała o tem, gdzie się znajduje i, że postanowiła nie zdradzać się z niczem.

Ocknęła się dopiero, gdy jakaś ręka chwyciła ją za rękę i dźwięczny łagodny głos zapytał:

— Co tam takiego widzisz, Janko?

Odwróciła się od okna. Irena stała przy niej i utkwiła w niej pytające i jakby nieco zdziwione oczy. Janka zrozumiała znaczenie tego spojrzenia. Wejrzała przelotnie na ojca i roześmiała się wesoło.

— O, co za nudziarka ze mnie, prawda ojczulku? — zawołała już całkiem swobodnie.

Pan Krański przez chwilę przyglądał się jej uważnie.

— Zmieniłaś się bardzo, Janeczko — rzekł z odcieniem ironii w głosie. — Chcę właśnie zastanowić się nad przyczyną tej zmiany. Bo dawniej nie widziałem cię nigdy tak roztargnionej, to znowu tak poważnie zamyślonej.

— Nie ojczulku — zaprzeczyła Janka. — Zobaczysz, że nic a nic się nie zmieniłam. Jestem tak, jak dawniej twoją nieznośną dziewczyną. Tylko...

— O właśnie to „tylko"...

— Co ojciec chce przez to powiedzieć? — spytała zaniepokojona.

Zamiast odpowiedzi, pan Krański objął ją wymownem spojrzeniem.

— Nie, nie. Ojciec mnie nie zrozumiał. Ja chciałam powiedzieć, że... że tylko opanowały mnie dziwne myśli, dawne wspomnienia...

— Coś mi się zdaje, że te wspomnienia nie muszą być tak dawne — uśmiechnął się zdawkowo pan Krański. — Najdalej z zeszłego roku, co?...

Janka zmieszała się i odwróciła głowę, udając, że poprawia włosy.

Irena popatrzyła na nią przenikliwie, a potem przeniosła pytający wzrok na starszego człowieka.

— Ja, oczywiście żartowałem — rzekł wesoło pan Krański. I dodał: — Jeśli macie ochotę, to pobiegnijcie sobie teraz do ogrodu, a ja tymczasem załatwię jeszcze przed wieczorem pewną maleńką sprawę.

Gdy dziewczyny wybiegły, zniknęła też wesołość pana Krańskiego. Twarz jego spoważniała natychmiast, a chmura nagłej troski osiadła na jego czole. Ze zmarszczonemi brwiami zawrócił do swego gabinetu.

Rozdział III.

ZWIERZENIA PANIENKI

Otaczający willę ogród tonął w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca, które na moment oślepiło swym blaskiem wychodzące panienki.

Dziewczyny zbiegły lekko z dość wysokiego tarasu, potem przystanęły na chwilę, jakby wahając się w którą stronę najpierw skierować swe kroki. Rozglądały się dookoła, głęboko wdychając, wonią kwiatów nasycone, powietrze.

Ogród był duży i wspaniały. Wysokie krzewy, różnej wielkości i gatunku kwiaty, ozdabiały symetryczne, poprzecinane gankami, działki ogrodu.

W samym środku ogrodu, w miejscu gdzie krzyżowały się dwa szerokie ganki, wznosiła się obszerna altana, oplątana bluszczem i dzikiem winem. Obok, w czterech kątach, rosły wspaniałe krzewy rozkwitłych purpurowych róż.

Obsadzone grynszpanem ganki tworzyły niekiedy istny labirynt, a jeden szerszy od innych, biegł wzdłuż ogrodu i ginął w przyległym parku, w którego gąszczu ptactwo harcowało głośno i hałaśliwie.

Dziewczyny objęły to wszystko roześmianemi oczyma, potem rzuciwszy sobie: — Która pierwsza?! — drobnemi kroczkami pobiegły w stronę altany.

Kiedy usiadły na obitej pluszem ławeczce, Janka spoważniała natychmiast. Irena utkwiła w niej pytające spojrzenie.

— Wiem Iruś, że dziwi cię moje zachowanie się na korytarzu — rzekła po chwili Janka. — Ale zrozumiesz mnie, jeśli wytłumaczę ci, jaka jest tego przyczyna.

— Och, Janko! — zawołała Irena, obejmując ramieniem kuzynkę. — Domyślam się coś niecoś, choć tobie zdaje się, że to twoja tylko tajemnica.

I zbliżywszy swoją twarzyczkę do ucha towarzyszki, szepnęła:

— Kochasz!...

Janka drgnęła silnie, na moment zbladła, i wnet poczerwieniała po same uszy. Nie spodziewała się, aby ktokolwiek mógł tak łatwo odkryć jej serdeczną tajemnicę.

— Skąd wiesz...? — wyszeptała tylko, nie usiłując wcale przeczyć.

— Sama mi powiedziałaś.

— Ja?... Ależ, Iro!

— Tak. Ty Janeczko, choć żadne słowo o tem przedmiocie nie przeszło przez twoje usta. Ale czyż potrzeba być zaraz jaką wróżbiarką, aby móc wybadać tajniki twego serca? Twoje oczy, całe twoje zachowanie się w czasie rozmowy z ojcem, kazało mi domyślić się, że jesteś zakochana...

Janka z podziwem w oczach spojrzała na kuzynkę.

— Jesteś zadziwiająco spostrzegawcza — rzekła. — Odgadłaś rzeczywiście wszystko. A kiedy już znasz moją tajemnicę, nie mam powodu dłużej taić przed tobą...

I poprawiwszy fałdy sukienki, z pod której widać było kształtną, przeglądającą przez jedwab ażurowej pończoszki, maleńką nóżkę kopciuszka, ciągnęła, patrząc w dal rozmarzonem okiem:

— Rok właśnie temu ujrzałam go poraz pierwszy w życiu. Pamiętam doskonale to pierwsze spotkanie. Było to w ten sam dzień, w którym powróciłam z Krakowa na letnie wakacje. Zaraz po obiedzie wybiegłam do ogrodu, chcąc nacieszyć się widokiem zieleni i kwiatów. Powietrze było parne, słońce prażyło niemiłosiernie, to też mimo lekkiego ubioru, wnet poczęłam oglądać się za miejscem bardziej ocienionem, gdzieby promienie słońca nie miały dostępu. Oplątana bluszczem, przewiewna altana wydawała się mi miejscem najodpowiedniejszym. Bez chwili namysłu pobiegłam w tą stronę i kiedy już miałam przestąpić próg altany, stanęłam nagle jak wryta. Na tej oto ławeczce, na której teraz spoczywamy, siedział jakiś mężczyzna, pogrążony w głębokiej zadumie. Ogarnęłam go błyskawicznym spojrzeniem. Był młody, przystojny i wyglądał na człowieka z towarzystwa. Ujrzawszy mnie, zerwał się na równe nogi. Zmierzyliśmy się oczyma... Zauważyłam, że w jego piwnych oczach malowało się zdumienie, a gdy dłużej patrzył na mnie, oczy jego zapłonęły żywszym blaskiem. Spostrzegłam, że moja osoba zrobiła na nim duże wrażenie.

— I odwrotnie — wtrąciła Irena z zagadkowym uśmiechem.

(Ciąg dalszy w nast. numerze).

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

BÓL...

Jesienny wieczór, po polu wiatr hula
I z drzewa spada liść...
Choć całą ziemię mrok płaszczem otula —
Muszę w tą ciemnię iść...
Bo gna przed siebie z najsmutniejszych smutny
W sercu boleści ton,
Bo mi los zadał taki cios okrutny...
Takiż mój szczęścia plon?
I idę sama, wiatr mi lica smaga,
Lecz nie osuszy łez.
W sercu mem ból ze spokojem zmaga:
Więc co, że to już kres?
I chcę oszukać serce tłumaczeniem,
Że niema czego bić.
I chcę spokojnie oszukać milczeniem,
Ból, chcę go w duszy skryć.
Ale mi w duszy, jako struna jęczy,
Bolesny, gorzki żal...
Tak mnie ta droga przeraża i męczy,
A tak mnie woła w dal...
I idę pełna boleści i męki
Wśród obumarłych pól.
Rozpamiętywam, że to z twojej ręki
Ten w sercu ciężki ból.
A wiatr gałęzie przegina, szamoce,
Jakby je wyrwać chciał...
A mnie tak serce w piersiach się łomoce —
Czemuś ten ból mi dał?
I idę z krzywdą w tę noc głuchą, ciemną...
Dziwne, że sama tak...
Przecież pamiętam, że byłeś tu ze mną,
A dziś mi ciebie brak...

Cecylja Pawlikowska.

ADRES

„Wareńka". Bardzo chętnie podaję Pani adres Polaka, przebywającego w pustyniach Afryki.

Legionaire Wiktor Haduch, 3/2 Regiment Etranger 11 Compagnie Mtr. 3241 Khenifra (Maroc).

TĘSKNOTA

„Cis". Rozumiem tęsknotę Pana. Ogarnia ona każdego człowieka, któremu życie wypełniaja szare, jednakowe dni. Zapragnął pan odmiany, zatęsknił za innemi, ciekawszemi wrażeniami i napisał Pan do „Krainy", prosząc o przyjęcie. Decyzja opłaciła się, bo przyjmuję Pana do naszego grona z miłą chęcią i wierzę, że najbliższa przyszłość przyniesie Panu i odmianę wrażeń i nieco urozmaicenia w dotychczasowym życiu. Życzę szczerze! A oto list Pana:

„Jestem człowiekiem poważnym — idealistą. Kocham ponad wszystko szczerość i prostotę i wszystko to, co może nosić miano szlachetności.

Na nudy nigdy nie narzekam, bo całodzienna praca zawodowa i obowiązki służbowe, nie pozwalają mi na to. Nieraz tylko ogarnia mnie jakaś nieokreślona tęsknota. Wówczas usuwam się od wszystkiego i wszystkich i marzę o szczęściu, chociaż nie wiem, czy kiedyś ono przyjdzie.

Na zakończenie listu przesyłam dla „Smutnej Wandeczki" słowa otuchy, dla „Rozy Wenedy" życzenia spełnienia wszelkich marzeń, dla „Nie — biednej" i „Starej Panny" serdeczny uścisk dłoni"

BRAK ZNAJOMOŚCI

„Oddalony". Codzienną towarzyszką życia „Oddalonego" — jest samotność. Zupełny brak znajomości skłonił Go do poniższego apelu: „Hallo! Która z Pań napisze do mnie? Czuję się samotnie, dlatego chciałbym znaleźć jakąś życzliwą duszę. Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom — ślę milutkie pozdrowienia".

RADOŚĆ I SZCZĘŚCIE ŻYCIA

„Duśka". Po przeczytaniu Twego listu, „Duśko" ,pozostało w mej duszy coś dziwnie miłego i radosnego. Udzieliły mi się Twoje nastroje i zachwyty i pod ich wrażeniem oddaję najradośniejsze części Twego listu, „Duśko", do przedruku. Może i w innych sercach słowa Twoje wzbudzą iskierki radości...

„Pod wpływem Pani jakaś przemożna siła ciągnie mnie teraz do ludzi. Jest mi dziwnie dobrze i radośnie. Nie sposób mi usiedzieć nawet chwilę samotnie. Często skrabię się na olbrzymie grusze, klony, jabłonie, by spojrzeć słońcu w twarz. Cieszy mnie ta swoboda. Mam radość i słońce w sobie. Stojąc na wierzchołku drzew wyciągam dłonie do słońca i pije chciwie słodkie powietrze wczesnej jesieni...

Wszystko wydaje mi się pieśnią — najcudowniejszą! I słonko i ciepło i zapachy i szmer pobliskiego źródełka. Chciałabym tę porę zatrzymać na zawsze. Niechby się spełnił cud.

... Siedzę samotnie. Z drugiego pokoju dolatują mnie rozpłakane tony płyty — „Ostatnia niedziela". To moja ulubiona piosenka. Wydaje mi się, że ktoś rzucił mi na twarz różową zasłonę. Marzę i snuje najcudniejsze sny. Wróżka tkliwych tęsknot złożyła swoje dobre dłonie na mojem czole i kołysze mi duszę pieśnią o szaleństwach, o niepojętych upojeniach, o niezgłębionych czarach życia, o głodzie coraz to nowych i nowych wrażeń i o rozkoszy ciągłego trwania w zmaganiu się z sobą...

... Szczęściem jest dla mnie, Zosiu, posiadać Twoją sympatję i życzliwość. Dużem jest szczęściem mieć osobę szczerą, dobrą i móc dzielić z nią wszystkie wrażenia i myśli, które niewypowiedziane mącą nam spokój. Dziękuję Ci więc, Zosiu, za to, że jesteś nam słońcem w jesiennej szarudze życia...

... Myślę nieraz o Tobie, gdy wracam do domu z przechadzki z potarganemi włosami, ale zadowolona i radosna. Pomimo mej pełnoletności jestem jeszcze „dużem dzieckiem", dzieckiem wsi, trochę romantyczką, marzycielką i trochę dzikuską...

A teraz opieram twarz na dłoniach i bardzo długo i serdecznie myślę o Tobie, Zosiu. Ufam Pani i zasyłam Pani dużo pozdrowień, dużo dobrych myśli i całe słońce w uśmiechu".

Za to ostatnie dziękuję Ci specjalnie, „Dusiu" i tulę serdecznie Twoją kochaną główkę.

„PRAGNĘ UTRZYMYWAĆ Z WAMI BLIŻSZY KONTAKT"...

„Sonia". „Napiszcie do mnie, bo polubiłam Was i pragnę utrzymywać z Wami bliższy kontakt. W długie, jesienne wieczory smutno mi nieraz i dziwnie przykro. Myślę wtedy o Was wszystkich, zgromadzonych w „Krainie" i pragnę, aby ktoś z Was przyszedł do mnie w serdecznych i szczerych słowach listu. Wierzcie mi, że za taki list dałabym dużo! Piszcie więc, bo samotność i brak jakichkolwiek wrażeń odbiera mi moją wspaniałą energię do życia, z której dotychczas byłam zawsze tak dumna. Czekam na Wasze listy!

Kim jestem? Małą dziewczynką o dużych, czarnych oczach i czarnych warkoczach. Pracuję w biurze i marzę obecnie o korespondencji z Wami".

Kto z Sympatyków „Krainy" odpowie serdecznie na powyższy list?

CHCIAŁABYM

„Gladiator". Cieszę się szczęściem Pana i pragnę, aby było zbudowane na trwałych podstawach. Fotografje Wasze wzruszyły mnie ogromnie. Chciałabym Wam kiedyś uścisnąć dłoń. „Wam" t. zn. Panu i tej słodkiej Panience o dobrem, cichem spojrzeniu. Przyjmijcie ode mnie życzenia wszystkiego najlepszego!

A GDY CI BĘDZIE ZNOWU ŹLE...

„Eli". Są oczy, które nigdy nie płakały i usta, które nigdy się nie skarżyły... Pisząc to, myślę o Tobie, „Eli". Życie Twoje, jak widzę z listu, to pasmo udręczeń i smutków, a Ty, z swoją czystą duszą, uśmiechasz się do tego życia. Kochasz je takiem, jakiem jest i szepcesz sobie, cichutko, gdy Ci jest bardzo źle. prześliczny wierszyk Ejsmonda:

Minie żałość i tęsknota...
Niechaj zima mnie nie smuci
Wróci pora szczęścia złota,
minie żałość i tęsknota...
Wróci pora szczęścia złota,
wróci wiosna, radość wróci...
Minie żałość i tęsknota...
Niechaj zima nas nie smuci...

Wiosna po zimie nastanie,
jako po nocy dzień złoty.
Wróci szczęście i kochanie,
wiosna po zimie nastanie...
Wróci szczęście i kochanie,
wiosna po zimie nastanie..
Wróci szczęście i kochanie,
rozebrzmią ptasząt szczebioty
Wiosna po zimie nastanie,
jako po nocy dzień złoty.

Żegnaj, Dzielna Dziewczynko i przyjm ode mnie wyrazy szczerej sympatji i podziwu. A gdy Ci będzie znowu źle — napisz! Odpowiem Ci serdecznie!

POZDROWIENIA I PROŚBA O LISTY

„Sylwanette" dziękuje „Słodkiej Psyche" za przesłane pozdrowienia, które w pełni odwzajemnia. Chętnie nawiąże z Nią korespondencję, ale pod warunkiem, że pierwsza napisze.

Miłe pozdrowienia śle również „Śnieżce" i „Jutrzence" z Poznania, „Hrabiemu Monte Christo" i „Czarnemu Olkowi". Równocześnie prosi wymienione osoby o listy.

NIE WIEM...

„Ryśka D." Jesteś kochanym, dużym dzieciakiem, „Ryśko"! Nie wiem, skąd się u Ciebie bierze tyle werwy i pomysłów do figli! Przyjm ode mnie moc pozdrowień i buziaków.



„Świat jest piękny i dobry" — mówi **„Aniteńka"**, uśmiechając się promiennie.



Czy pamiętacie jeszcze „Śląskiego Orła"? Oto On, z dumą pokazujący swemu koledze, wyhodowaną przez siebie kukurydzę.

O RADOŚCIACH I SMUTKACH ŻYCIA

„Roztańczona — rozśpiewana Pomorzanka". Dziękuję Ci, Milutka Dziewczynko, za nadesłane fiołki. Wypadły z listu na moje biurko jeszcze zupełnie świeże i potem długo pachniały...

„Wróciłam z wakacyj i czuję się doskonale. Nie rozumiem, jak może być komuś źle i smutno. Na mojej twarzy jest zawsze pogoda i uśmiech — och! gdybym mogłam uściskałabym cały świat i zamknęłabym go w moich małych ramionach"...

Z powyższych słów widzę, Kochana Dziewczynko, że życie Twoje, to jedna wielka radość. Rozumiem, że nie możesz pisać inaczej, skoro każdy dzień niesie Ci radość i odmianę wrażeń, ale wierz mi, że takich, jak Ty beztroskich istot, jest w „Krainie" mało. Przewaga, to ludzie, którzy ciężko i z trudem idą przez życie, ludzie o straconych nadziejach i pięknych zamiarach, smutni i przygnębieni. Ty ich nie rozumiesz, Słoneczna Dziewczynko, bo za dużo szczęścia jest w Twoim życiu, ale ja ich rozumiem i zawsze mam dla nich otwarte serce i ramiona.

Na zakończenie życzę Ci, Kochanie, aby nigdy nic nie zamąciło spokoju i pogody Twego życia i abyś zawsze pozostała taką radosną istotą, jaką jesteś obecnie. Pisz i pamiętaj nadal o „Krainie".

A teraz jeszcze kilka Twoich słów:

„Dla całej „Rodzinki" ślę siostrzane uściski.

„Merle"! Jak po wakacjach? — Cudownie, co? Serdeczny uścisk!

„Dziewczynko z Bydgoszczy"! Dziękuję Ci za pozdrowienia! Pa!

Ziuto Śliwianko! Kiedy będziesz u mnie? Czekam!

„Roześmiana Ziuteńko"! Za milutkie pozdrowienia — dziękuję! Skreśl do mnie, proszę, kilka miłych słów!

„Złote Jabłko"! Pozdrowienia! Liścik przyślę!"

ŻYCZĘ CI, „DUMKO", SZCZERZE..

„Dumka". Oczarowałaś mnie swoim liścikiem, „Dumko". Schowałam go sobie na pamiątkę i pragnę gorąco, aby częściej przychodziły do mnie takie miłe listy. Za fotografię — całuję mocno buzię! Poza tym życzę Ci, „Dumko", aby szczęście, które znalazłaś, było błogosławieństwem Twego życia i cichą przystanią. Zasługujesz na to, Słodka Dziewczynko, o cichych, dobrych oczach i szlachetnej duszy.

Dopisek Twój, „Dumko", z przyjemnością zamieszczam:

„Smutnym „Siostrzyczkom" z „Krainy" ślę dużo uśmiechów, serdeczne uściski rąk i.. niech Bóg Was pocieszy. Za przesłane kiedyś pozdrowienia dziękuję Wam i przesyłam pozdrowienia tym Sympatykom, którzy przesłali mi listy. Nie odpowiadam Wam, bo... bo nie umiem. Wybaczcie!

„Samotna Gwiazdeczko"! Janko moja, czy to Twój pseudonim? Bądź zdrowa i pisz!"

CZEKAM

„Jadwinia D." A więc czekam na ten długi, obiecany mi list i ślę Pani tysiące pozdrowień.

CZY ZAINTERESUJE?

„Ar" pragnie nawiązać korespondencję z którąś z Sympatyczek lub Sympatyków „Krainy". Czy to skromne życzenie zainteresuje kogoś? Myślę, że tak, bo przecież za tym krótkim pseudonimem — „Ar", mieści się tyle tajemnicy.

WYJAŚNIENIE

„Wilk Morski" wyjaśnia osobom, z którymi koresponduje, że pseudonim Jego nie ma nic wspólnego z zawodem i miejscem Jego z mieszkania i jest związany jedynie z sentymentem do morza.

Poza tym dziękuje za listy: „Maleńkiej Tajemnicy" i „Białej Uajali". Wymienione Pani otrzymają napewno odpowiedź.

Pozdrowienia łączy dla: „Wesołej Irutki" i „Te-Em".

MOC SERDECZNOŚCI DLA SYMPATYKÓW „KRAINY"

„Maruta". Jesteś miłą i kochaną dziewczynką, „Maruto". Stwierdziłam to po ostatnim Twoim liście. Za wszystkie dobre słowa ściskam Ci ręce i nie zapominam zamieścić zakończenia Twego listu:

„Moc całusów ślę „Małej Konwalijce". Uścisk dłoni wszystkim „cygankom" z „Krainy", bo i ja jestem do nich zaliczona. Milusie pa! — b. L. M. z Trok. Przyjacielski uścisk dłoni „Kraterowi II" i słowa współczucia „Czarnemu Olkowi".

„CO CZYNIĆ DALEJ?"

„Blanka". „Co czynić dalej?" — pytasz mnie „Blanko" w swoim szczerym liście. Na pytanie to trudno mi odpowiedzieć, gdyż jest ono związane ściśle z sprawami sercowemi, a w sprawach tych może jedynie decydować każdy sam. Dlatego też nie będę Ci udzielała żadnych wskazówek, co czynić dalej, tylko najlepiej poradzę Ci, abyś przy wyborze swego dozgonnego towarzysza życia, kierowała się nietylko sercem, ale i rozsądkiem. Pamiętaj, Dziewczynko, że nie wystarcza być tylko szczęśliwą, ale trzeba być jeszcze zadowoloną. Powyższe zaś osiegniesz, jeżeli u mężczyzn, ponad wszystko inne, będziesz ceniła dobry i prostolinijny charakter.

Za milutkie zdjęcie — ślicznie dziękuję. Pozdrowienia załączone przez Ciebie dla p. Ani Wełnicówny, „Ryśki D." oraz wszystkich Panów, którzy noszą imiona Tadeusza i Wacława — przekazuję.

CZY ZGODA?

„Wenus". Z Zakopanego przywiozła Pani śliczne szarotki, ale zapewnie i moc wrażeń. Proszę więc, niech mi Pani nieco szerzej opisze swoje wycieczki po Gubałówce, Hali Gąsiennicowej, po Dolinie Strążyskiej. Czy zgoda, Miła „Wenus?" Proszę o powyższe, bo kocham bardzo góry, znam je dobrze i interesują mnie wspomnienia górskich wycieczek.

Żywię nadzieję, że prośbie mojej nie odmówi Pani, kończę więc odpowiedź serdecznemi pozdrowieniami i uściskami.

Dopisek oddaję do przedruku:

„Hallo! „Nimfo!" Krysiu z Puszczykowa! — czekam na odpowiedź. Miłe uściski załączam dla wszystkich Czytelników „Moich Powieści".

DLACZEGO?

Nie mogę pojąć tej jedynej rzeczy
Jak może miłość, to cudne marzenie,
Jedyny cel życia na ziemi człowieczy
Zamienić się czasem na straszne cierpienie.

L. J.



„Duśka", urocza Sympatyczka „Krainy" uśmiecha się zalotnie do... obiektu fotograficznego.

Teczka Wujka Janusza

WŚRÓD WRZOSÓW

„Erosowi" — dedykuję

Na modrej tafli jeziora
Złote promyki się kładą
I lekko falą kołysane
Błyszczą światełek mirjadem.

Bór swą odwieczną pieśń śpiewa,
Pieśń starą, a zawsze nową
I wokół wrzosy — cud kwitną
Drobniutkie — bladoróżowe.

Często wśród wrzosów tych siadam,
Gdy mi tęsknota serce kłuje
I cicho falom opowiadam,
To, co przeżywam i co czuję.

Oj, szumi! szumi! bór stary
I główki wrzosów zadrżały,
A fale bieg swój przyspieszyły,
Czyżby mą spowiedź zrozumiały?

„Dzinka".

WIERSZYKI DOBRE

„Dzinka". Oczywiście — prośbie nie odmówiłem. Za serdeczność odwzajemniam się szczerym uściskiem dłoni.

Wierszyki dobre — pójdą do druku.

DZIĘKUJĘ ZA MIŁE SŁOWA

„Kochanie". Dziękuję za serdeczny uścisk dłoni i za parę miłych słów, skierowanych pod moim adresem. Łączę moc pozdrowień!

DZIĘKUJĘ!

„Willy". Dziękuję Panu serdecznie za pamięć. Czekam na obiecany list i pozdrawiam!

CZEKAM NA DŁUŻSZY LIST

„Wilk Morski". Część „odezwy" Pana zamieściła w dzisiejszym numerze p. Zofja. Reszta uległa konfiskacie, gdyż nie chcielibyśmy wywlekać cudzych błędów na forum publiczne. Ściskam Panu dłoń i oczekuję od Pana dłuższego listu.

CZY ZADOWOLONA PANI?

„Iwola". Z nadesłanych wierszy pójdą do druku: „Jesień", „Nie, nie uwierzę"... i „W mroku". Czy zadowolona Pani? Serdecznie Panią pozdrawiam i oczekuję na nowy list i nowe wiersze.

W MROKU

W mrok patrzę źrenicą suchą,
Wiję się cała w męce...
Coś w mroku czai się głucho
I strachem ściska serce.
Twarze upiornie blade,
Czy ogniem pałające,
Pełzną cichaczem ku mnie,
Jak widma bielejące.
W te nieprzespane noce
Wciąż widzę czyjeś oczy
I wyciągnięte ręce...
W tęsknocie i udręce,

„Iwola".

Raj kobiet

Piękna stora



Bardzo piękna stora z wstawieniem filet. Wzór naturalnej wielkości nabyć można w naszej administracji w cenie 2,00 zł.

Jak się odbywa transfuzja krwi?

(Reportaż z Kliniki Uniwersyteckiej).

Zimna niebiesko-biała barwa olejno malowanych ścian; zimne połyski noży, nożyczek, piłek, haków, kocjerów równemi rzędami lśniących na szklanych półkach szaf; na przezroczystych taflach stołu ampułki, strzykawki i flaszki — obok pękate niklowe puszki, pełne guzików i waty. Białą serwetką okryty stolik ze „starilem", do którego wolno się zbliżać tylko lekarzom i pielęgniarce.

Wszystko w tej sali jest obce i chłodne, tylko powietrze gorące, aż dusi... Bezszelestnie przesuwają się białe postacie lekarzy, słychać krótkie, ściszonym głosem rzucane słowa poleceń.

Pośrodku sali ustawiono równolegle dwa wózki, pomiędzy niemi mały stolik. Na każdym z wózków nieruchoma postać do ramion okryta prześcieradłem. Tylko, że ten po lewej stronie leżący człowiek jest wynędzniały i blady, tak blady, że jego twarz nie różni się bardzo od bieli serwet — a ten obok jest silny, różowy, trochę podniecony i tylko dlatego leży tak spokojnie, że mu w tej chwili nie wolno inaczej.

Pielęgniarka ujęła jego lewą rękę, przywiązuje ją ciasno gumowym paskiem wysoko nad łokciem; zgięcie łokcia myje spirytusem — benzyną — eterem, wreszcie smaruje jodyną.

— Proszę, zacisnąć pięść i już nie ruszać ręki — mówi do niego.

Skolei ten sam rytuał z prawem ramieniem chorego. Tylko drugie nie nabiega tak szybko krwią i nie sinieje, jak tamto zdrowe i muskularne ramię: jak bardzo trzeba mu dać tej nowej, niezniszczonej przez cierpienie krwi!

Teraz chirurg wszedł między wózki. Na śnieżnej serwecie stolika zabłysła stal sterylizowanej tacki i podstawki; na nich składa lekarz niewielką, szklaną strzykawkę, przedzieloną pośrodku szczelnym tłokiem.

Chory otworzył oczy, niespokojnie śledzi jego ruchy. Boi się.

— Przecież nie pana będzie bolało, jedno małe ukłucie... O syn pana wcale się nie boi, prawda?

Skądże znowu! — prosi nawet, żeby nie zwracać na niego uwagi, wziąć tyle krwi wiele trzeba, choćiażby jak najwięcej...

Szybkim ruchem wbija się igła w nabrzmiałą żyłę, gumowa rura łączy ją z końcem strzykawki.

Pierwszy ruch tłoka — pół strzykawki napełnia się krwią.

— Pierwsza porcja na ofiarę bogom — mówi chirurg z uśmiechem.

Zawsze tak mówi i zawsze się przytem uśmiecha. Tej krwi nie można przetoczyć, jest bowiem zmieszana z powietrzem, a lekarz korzysta z tego, aby jakoś odciążyć to naprężenie, przeciąć ten uroczysty nastrój zbytniego napięcia nerwów.

Drugi ruch tłoka i ciemna krew wylała się na przygotowaną miseczkę.

— Teraz już wszystko dla ojca.

Drugi koniec strzykawki połączony z igłą, wbity do żyły chorego, pielęgniarka odwiązuje gumę na jego ramieniu. I już stopniowo, miarowo, powoli chirurg jednym ruchem tłoka wciąga do strzykawki, krew dawcy — syna, aby ją następnym ruchem wprowadzić do żył ojca. Każdy ruch tłoka — to 5 centymetrów sześciennych krwi. Liczy:

— Raz — dwa — trzy — o już piętnaście. Już sto. Jak się pan czuje?

Dawno czuje się doskonale. Po trzechset proponuje, żeby wziąć jeszcze więcej.

— Nie, dosyć. Chory musi sobie tę nową krew przyswoić. Może za kilka dni powtórzymy, jeśli będzie potrzeba..

Chory poruszył się niespokojnie. Co mu jest?

— Tak gorąco...

— To dobrze, bardzo dobrze. Zawsze jest gorąco. Już pan odpocznie, już koniec. Prawda, że nie było straszne?

— Zrzucić gumę u dawcy! Igła wyjęta — gazik na miejscu ukłucia i teraz zgiąć rękę w łokciu!

Chorego wywożą z sali. Jeszcze chwila i dawca wstaje. Jest może trochę bledszy, ale to raczej ze wzruszenia. Cieszy się, że mógł dać ojcu krew, że okazała się odpowiednia.

Bowiem nie zawsze krew 1 człowieka można przetoczyć drugiemu. Jest kilka grup krwi: A, B, AB. i O. Grupa O. nadaje się dla każdego, ale krew grupy A lub B można łączyć tylko z krwią tej samej grupy, lub z grupą AB. W przeciwnym razie nastąpiłyby bardzo groźne komplikacje, a nawet śmierć krwiobiorcy. Dlatego przed dokonaniem transfuzji należy przeprowadzić bardzo dokładne badania.

J. Płażewska.

Moda w jedzeniu

Sztuka kulinarna oraz predylekcja do tych, czy innych potraw zależą w stopniu znacznym od mody. Ostatnio Komitet Ekonomiczny Brytyjskiego Imperium ogłosił ciekawy raport, w którym znajdujemy wiele informacyj co do zmian, jakie zachodzą w gastronomicznych upodobaniach narodów.

Obecnie panuje predylekcja do owoców. Nie wszystkie jednak owoce cieszą się jednakowem powodzeniem. Największy jest popyt na pomarańcze i grape — fruit'y, uważane za wybitnie pożywny pokarm. Popytowi temu niemało sprzyja panujący pogląd, że owoce te działają odchudzająco.

Mieszk. Londynu żądają przedewszystkiem ananasów i grape — fruit'ów, — podczas gdy na północy Anglii są najbardziej poszukiwane gruszki i sałatki. Szkoci zajadają się malinami i jabłkami.

Anglia importuje rocznie około 173 000 tonn owoców i konserw owocowych. Ogólne spożycie owoców wynosi 200.000 tonn rocznie.

Czy można jednak uważać olbrzymi popyt na owoce za przejaw jedynie mody? Czy nie jest on raczej objawem zrozumienia pierwszorzędnej wartości odżywczej owoców?

Napewno nie wiecie, że...

...w Laponii ludność żywi się przeważnie reniforami.

—o—

Najbardziej włochaci ludzie na świecie są Ainu, szczep japoński.

—o—

Największe drzewo na świecie znajduje się na cmentarzu w wiosce Oaxaca w Meksyku.

—o—

W starożytnym Rzymie płacono za funt ryby, t. zw. murena, podobnej do węgorza, po 30 dolarów.

—o—

Największe złoża niklu na świecie są w Kanadzie.

—o—

Przez Wodospad Niagara przepływa przeciętnie 93,150,000 galonów wody na minutę.

—o—

22 procent powierzchni ziemi pokryte jest lasami.

—o—

Psy widzą o wiele gorzej od ludzi.

—o—

Atom jest to nazwa grecka oznajmiająca najmniejszą cząstkę materii.

—o—



Ostatnie spojrzenie na „szary padół" i za chwilę młoda lotniczka popłynie z białemi chmurkami w podniebne szlaki...

Gabinet mojego męża

(Praca konkursowa nagrodzona IV nagrodą na konkursie „Moich Powieści".

Straussowski walc ginął wraz z przyśpieszeniem kroku. Melodja utonęła gdzieś w dusznem, czerwcowem powietrzu. Może zawisła w gęstem listowiu kasztanów, a może prędzej w śnieżnych dławiących czeremchach.

Był wieczór. Słońce stoczyło się poza białe mury gmachów, płonęły miedzią i cynkiem kryte dachy. Dunaj chłodny i błękitny ginął w duszności wieczoru. Więdły trawniki zielone, przypominając swobodę i rozległość pól wioskowych i sianokosy. Pocięte artystyczną ręką, prószone nowoczesnym smakiem, odniechcenia a śmiało i cudownie, piękne rabaty tulipanów, bratków, stokroci, pelargonji czy pączkujących róż, tęskniły za błogosławioną rosą przedwieczorną, wzdychając ku seledyniejącemu niebu.

Przyśpieszałam kroku.

Jak najprędzej chciałam znaleźć się w mej ulubionej dzielnicy ogrodowej, gdzie na maleńkiej uliczce w ślicznym domku wynajmowałam pokój. Wesołe melodje goniły mnie zawzięcie, ledwo jedna umilkła, wytryskała w otwartem oknie druga, bardziej żywa, wiośniana, radosna.

Wiedeń i walc — to dwa nierozłączne słowa i... prawdziwe.

Wreszcie szarpnęłam dzwonkiem.

W drzwiach już oznajmiono mi, że w pokoju czeka na mnie stos świeżej korespondencji. Ot, starym zwyczajem, jako początkująca dziennikarka czytałam dużo, papieru i nocnej pisaniny nigdy w programie nie zabrakło. Było przyjemnością umiłowanego zawodu to ślęczenie po nocy, kiedy najlepsze, błogosławione myśli wyłaziły z ukrycia, z zakamarków przyduszonego jasnym dniem mózgu.

Drzwi balkonowe były zawsze otwarte, pokój mój, najmilszy ze wszystkich studenckich pokoi.

Otwierałam szybko koperty, zrywałam opaski z pism, rzucając okiem na ten czy tamten artykuł, a ściągając jednocześnie z siebie czapkę, rękawiczki, kostjum...

Jest wreszcie list z „prasy", ale od Seweryna żadnej wieści. Cisnął mi się na usta brzydki wyraz, którym chciałam obdarzyć moją daleką teraz sympatję, gdy list z „prasy" pochłonął mnie.

Tak w konkursie zwyciężyłam. Konkurs był ściśle prywatny, coś w rodzaju egzaminu dla młodych adeptów, zaangażowanych próbnie. Konkurs przyniósł mi doskonałą posadę w stolicy i wracał mnie na łono ojczyste. A tęskniłam za Warszawą, bo tęskniłam...

W konkursie były przybrane nazwiska. Czy też Seweryn domyśli się, że to ja? Czy się tylko domyśli? Ale dlaczego przez te trzy miesiące nie napisał? Wszak pisałam do jego siostry i przymawiałam się dowcipnie o kilka słów od Seweryna. Ot „trąba jerychońska" i nic więcej. Pocieszyłam się szybko.

Zadzwoniłam do wiedeńskich przyjaciół i postanowiliśmy uroczyście obchodzić moje pierwsze powodzenie dziennikarskie na nocnej ogrodowej, prawdziwie studenckiej eskapadzie.

* * *

Grieg był zawsze bardzo pomysłowy.

Umówił się z większem gronem osób i mnie z Jankiem i Moniką wciągnął do towarzystwa. Zaklinał mnie przytem pocichu, abym uważała na jego słowa i nie wkopała go przypadkiem.

Poszliśmy na dancing. Na cudownym tarasie w ciszy wieczoru, łapanej w przerwach między tańcami, czas płynął z księżycem — szybko. Osób było dużo, pierwszy z którym sąsiedztwo mnie zetknęło, to młody aktor — Andrzej. Grieg w odpowiednim momencie zrobił nas małżeństwem i wzniósł zdrowie laureatów. Spojrzałam niepewnie na Andrzeja, ale ten był zupełnie zadowolony i tak opanowanym aktorem, że jego pewność i swoboda udzieliły mi się i do końca zabawy godnie reprezentowałam jego małżonkę.

Zabawa była niczego sobie... udała się...

A kiedy w dwa tygodnie później pytałam na dworcu przed odjazdem Griega, dlaczego wymyślił to małżeństwo, odpowiedział...

— Kierowałem się kilkoma zamiarami: primo — chciałem zrobić ci reklamę w Warszawie, secundo — Andrzej następnego dnia grał w teatrze rolę młodego małżonka, więc aby nie zginął, urządziłem mu generalną próbę i jednocześnie zabawę. tertio — zapomniałaś, moja młoda dziennikarko, że był w naszym towarzystwie Sigman, ten z „Kurjera", a ja Sigmana tak nie lubię, chciałem, aby puścił do Warszawy kaczkę o waszem małżeństwie i sparzył się na tem. Tymczasem Sigman wygrał, bo ani ty, ani Andrzej pogłosce nie zaprzeczyliście.

Uśmiałam się serdecznie.

Kiedy jednak pociąg ruszył i ginęła pomału srebrno - płomienna wstęga Dunaju na szerokich zielonych łąkach rzucona, żal ścisnął gardło i smutne refleksje cisnęły się do czoła.

Stolica i Seweryn stawały się bliższe, coraz bliższe, z każdą minutą i z każdym kilometrem.

* * *

Dziadek wyjechał z Warszawy. Willę zamknął na klucz, który przez krewnych pośredników wkońcu mnie powierzono. Dziadek prosił, abym sprawić nowe meble do gabinetu. Kręciłam głową z niedowierzaniem. Czyżby moje ostatnie wyczyny nawróciły dziadka do dziennikarskiego warjackiego gustu. Ale... „sprawiać meble to sprawiać"...

Andrzej też już przyjechał do Warszawy i grać miał w teatrze. Na Marysię i Seweryna trochę się dąsałam, więc wizytę u nich odkładałam z dnia na dzień. Co do tych mebli, to Andrzej nie odmówił, poszedł ze mną wybierać gabinet. Pech chciał, że przez ogromne witryny składu mebli na Marszałkowskiej zobaczyła mnie długo-języczna Halina. Nie przepuściła okazji, poczekała aż wyjdziemy. Przedstawiłam jej Andrzeja dość niedbale, a sama zagadałam o nowym gabinecie. Halina była przekonana, że Andrzej to mój mąż. Sam Andrzej uśmiechał się tylko, zabawiając towarzysko Halinę. W konsekwencji tego spotkania przypadkowego, jak się okazało, pół Warszawy wiedziało, że państwo Andrzejowie X. kupili nowy gabinet.

* * *

Zawieszałam piękne firany, kiedy w ogródku przed frontowemi drzwiami zafurkotało. Pięć strojnych panien przyszło odwiedzić mnie. Wszystkie koleżanki z czasów studenckich, wesołe w gromadzie, zadowolone z młodości, żywe. Smutki — smutkami, niepowodzenia, brak pieniędzy, nic to, kiedy jest młodość i życie ma w sobie jeszcze tyle uroku.

— Świat jest jednak ciekawy — krzyczy taka młoda osóbka, nie chcąc się przyznać do popularniejszego twierdzenia, że świat jest piękny, bo piękny to za mocne słowo, kiedy się przypomni przedwczorajsza nędzna kolacja — obiad jednocześnie, po całodziennem wkuwaniu w cichej uroczystej bibljotece.

Koleżaneczki nie dały mi dojść do słowa.

Zachwycały się willą, uwierzyły, a raczej same stworzyły bajkę, że dziadek w prezencie ślubnym ofiarował mi willę, w której urządzam się pomałeńku.

— Chociaż jedna z nas będzie żyć przyzwoicie — wzdychała Władka.

Postanowiłam powiedzieć im prawdę, ale znów pech chciał inaczej. Przed domem stanęło auto, wysiadł z niego mój szef — dyrektor, przyszedł z ważnym artykułem, który natychmiast zaczęliśmy opracowywać. Wesoła gromadka wyfrunęła rozbawiona do ogrodu, a znudzona długiem oczekiwaniem, wyniosła się poza ogród, siejąc spustoszenie wśród rozkwitłych goździków, róż i groszków. Podłam się ze złości nad artykułem.

A może męczyła mnie już plotka mojego małżeństwa.

* * *

Nie wpuszczałam do domu nikogo.

Przyszła pilna praca.

Zadzwoniłam jednak do Marysi. Odpowiedziała zdawkowo, że przyjdzie do mnie. Przyjdzie?... Raczej wolałabym, aby mnie do siebie zaprosiła. Ze względu na obecność Seweryna nie chciałam się narzucać, ale pragnęłam jak najszybciej wytłumaczyć Marysi, że przecież nie wyszłam zamąż. A znów ze Sewerynem nie byliśmy na tak poufałej stopie, aby odwiedzać się lub do siebie dzwonić i t. p.

Wiem, że podobałam mu się, a jak on mnie podobał się, chyba nigdy nie odgadł, był nieśmiały i bardzo delikatny, jeśli chodziło o uczucia. Ech, Seweryn umiał się jeszcze rumienić i przykrywać oczy długiemi rzęsami, a zaraz potem udawać zucha, mężczyznę, i nadrabiać miną.

To był właśnie Seweryn.

I jakże tu dłużej wytrzymać, aby go nie zobaczyć.

Źle jednak składało się.

Oto Andrzej tak gorąco prosił, aby mu pozwolić powtórzyć rolę w mojej cichej posiadłości. Pewno, że go zaprosiłam.

Ja pracowałam na balkoniku, on w gabinecie uczył się akurat słodkich scen najbliższej komedji. Przemawiał do nieobecnej partnerki.

Zajęłam się swoją pracą.

Było późne popołudnie, gdy dziwne przeczucie kazało mi podnieść głowę i spojrzeć w głąb ulicy zielonej. Serce zawaliło żywo, toż to Seweryn. Czyżby chciał mnie spotkać na tej ulicy? A może do mnie idzie? Gorączka oczekiwania i niepokój...

Przekroczy furtę ogrodową czy pójdzie dalej?

Zapadłam się niewidzialna w głęboki fotel, drżąc z niepewności.

Seweryn. Wysoki, zgrabny, włosy czarne, faliste, obiegały serpentyną czoło. Twarz opalona, a mimo to jasna, i ciemne rumieńce słońca i zdrowia. Oczy jak gwiazdy, czarne, błyszczące i dobrotliwe. Seweryn. Jeszcze płot, jeszcze dwa kroki... i furta... Stanął zawahał się. Moja śmiałość schowała się pod sukienkę chyba, zbaraniałam, zamiast pozdrowić go i zaprosić choćby z balkonu — zaniemówiłam... Wszedł do ogrodu.

Wtedy nie wytrzymałam. Zeszłam szybko ze schodów; ale stało się to wszystko jeszcze szybciej. Właśnie Andrzej zamknął drzwi za oddalającym się Sewerynem.

— Ten pan, otrzymawszy odpowiedź, że pani dziadka niema, nie chciał przeszkadzać wnuczce i poszedł sobie.

Odpowiedź Andrzeja. Ale przecież Seweryn u djaska nie znał mojego dziadka?...

Uciekłam na balkon i dwie nieszczęśliwe łzy zawstydziły młodą, świeżo upieczoną dziennikarkę. Też pomysł — beczeć?... Zrozumiałam.

Seweryn przechodząc koło okien gabinetu usłyszał część słodkiego monologu Andrzeja, żeby chociaż wiedział, że to monolog... A kiedy jeszcze drzwi otworzył Sewerynowi Andrzej — stanęła kropka. Seweryn zmienił zamiar złożenia mi wizyty. Zapytał o dziadka i wycofał się szybko. Adrzej śmiał się i mówił.

— Ten pan nie chciał przeszkadzać młodemu małżeństwu.

Ja się jednak nie śmiałam...

* * *

I długiego trzeba było czasu, aby Warszawa uwierzyła. Nie chciano przebaczyć Andrzejowi, że bawiąc się sam, flirtuje na lewo i prawo, zdradza młodą żonę.

Długo współczuwano jego młodej małżonce, pisującej coraz to surowsze w stylu artykuły.

Oczywiście Seweryna dało się jakoś przekonać przez siostrę. Ale z Marysią też było trudno dojść do ładu. Najgorszy to ten monolog Andrzeja. A właściwie wszystkiemu winien był Grieg. Wstrętne Grzegorzysko. Napisałam mu o tem. To tylko śmiał się serdecznie, wcale mi nie współczuł. Chwała Bogu, że nie słyszałam jego śmiechu, bo chyba ze złości wydarłabym mu połowę elegancko zaczesanej czupryny.

„Droit".

ADAM CZEKALSKI

2)

Radość życia

powieść

IV.

Dziś przyszła do nas jakaś stara Greczynka. Domyśliłem się odrazu, widząc ją tak podobną do Niobe, że to z pewnością jakaś jej krewna. Okazało się następnie, że to poprostu matka. Zabrała ona moją pasterkę do szałasu i długo o czemś i hałaśliwie z nią rozprawiała. Domyślać tego mogłem się tematu rozmowy i niemal pewny byłem, że ja nim jestem. Jakoż tak było. Powiedziała mi to Niobe w przelotnej chwili, gdy matka zajęta była pakowaniem serów do worka, który na własnych barkach ponieść miała do Aten, 63 klm. fatalnej górskiej drogi, by je tam spieniężyć.

— To moja matka — rzekła mi Niobe. — Gniewa się, że ty jesteś tutaj, razem ze mną i podejrzewa najgorsze rzeczy.

— Cóż w tem złego, że ja jestem z tobą? Nic złego nie wyrządziłem ci przecie.

— Powiedziałam to matce, ale ona nie wierzy i domaga się, byś odszedł stąd.

— A ty?

Niobe spuściła oczy, zakrywając je powiekami. To mi wystarczało. Rzekłem więc znowu:

— Ja stąd nie odejdę, Niobe, nie odejdę, choćby nietylko matka twoja, ale cały wasz pasterski klan tego żądał.

Radość wykwitła na jej twarzy. Pobiegła natychmiast do matki, która ją wzywała, i długo o czemś rozmawiała z nią tak stanowczo i tak przekonywująco, że matka wkońcu zmilkła zupełnie i nie oponowała już.

Ja poszedłem do stad owczych, które rozlazły się na ogromnej przestrzeni wzgórz i pagórków i zamyśliłem się. Rozmaite plany przychodziły mi do głowy, różne projekty snuły się po mózgu, najbardziej jednak doskwierała myśl, że nawet tu, na tym pustkowiu, gdzie ludzie obcują wciąż z Bogiem i naturą, bliżsi im czuć się winni, że nawet tu istnieją brudne podejrzenia i niegodne posądzenia o rzeczy złe i nietyczne. Gdzież tu uciec, aby czuć się naprawdę wolnym? Aby móc, kiedy nam przyjdzie taka chęć, złączyć się z kobietą kochaną na mocy ślubu serc, i żyć tak do końca dni swoich, nie znając kłamanych przysiąg, ani słów, w których czają się zarodki przyszłej zdrady!

Byłem tak zamyślony, że nie spostrzegłem nawet, jak Niobe, pożegnawszy matkę, przyszła do mnie i usiadłszy u mych stóp, wpatrywała się w moją twarz zadumaną. A mnie się snuły w mózgu przedziwne plany, tak niepodobne do mnie, do moich zamiarów spędzenia życia tutaj, w takiej jak dotąd sielance idealistycznej. Przyszło mi mianowicie na myśl to, co sobie niegdyś postanowiłem, że wrócę znowu do dawnego świata, do dawnych ludzi, aby ich przekonać, że nie zginąłem, że trwam i nadal mam władzę nad tłumami, w dalszym ciągu zniewalam je i każę sobie składać hołdy. Tak postanowiłem, ale czy wykonam? I dlaczego miałbym wykonywać to, co jest sprzeczne z moim duchem i z moimi zamiarami? Pragnieniem mojem jest zostać tutaj na zawsze...

Lecz cóż to budzi się we mnie i woła do tych ludzi, którzy mnie opuścili? Jakie uczucie mną rządzi, co mną powoduje? Nie wiem. A raczej — wiem, tylko nie chcę się przyznać do tego. To chęć zemsty. Bywają chwile, że jest ona we mnie tak silną, iż jej przemóc nie mogę. Wtedy próbuję mojego prawego ramienia i mam wrażenie, że owa tragiczna sztywność mięśni stopniowo zanika. Na myśl o tem opanowuje mnie szalona radość, której stłumić w sobie nie jestem w stanie.

Szczekanie psa gdzieś w niewidocznej kotlinie wyrywa mnie z zadumy. Rozglądam się i nie widzę nigdzie Niobe. A przecież widziałem ją tu przed chwilą i wyczuwałem jej obecność przy mnie. Lecz niema jej — tego jestem pewien.

Właśnie dobiega mnie jej głos. Niobe śpiewa. Nigdy dotąd nie słyszałem jej śpiewającej. Co to? Czy to ona, ta napół dzika, bosonoga pasterka tak śpiewa, czy też może która z dawnych bogiń zeszła na te pagórki z wysokości Olimpu i rozsnuwa te rzewne melodie, co łzy wyciskają z oczu? Podsuwam się ostrożnie do jaru i tu widzę ją, moją młodą Greczynkę, pogrążoną w ekstazie pieśni miłosnej. Jej głos ma czystość metaliczną i zdaje się przypominać tysiące dzwoneczków, rozbrzmiewających po rannej rosie. Nigdy dotąd nie słyszałem podobnie cudownego głosu. Jestem w nim tak zasłuchany, że zatracam wogóle wszelką pamięć o tem, gdzie się znajduję. Mam takie wrażenie, jakbym się napił wody z Lety i to mi odebrało pamięć przeżytych losów i doznanych dawniej uczuć.

Tylko bogowie podobnym głosem mogą przemawiać — myślę. — Tylko bogowie... Któż wie, kim jest ta bosonoga pasterka grecka, która nie ma imienia, a którą ja nazwałem Niobe? Coś dziwnego czai się w jej oczach i w całej jejpostaci. Ale co to być może, co?

Z miejsca, gdzie usadowiłem się dla obserwacji, widzę w całej krasie postać Niobe. Także bardzo przypomina mi ona kogoś kiedyś widzianego. Ale kogo? Zaczynam szukać w pamięci — już mam, wiem już, kogo moja pasterka przypomina. W paryskim Luwrze, w tem przedsiębiorstwie kolekcjonerskim francuskiej burżuazji, widziałem kiedyś Artemidę, kopię w marmurze, lewą ręką wspierającą się na głowie jelenia, prawą sięgającą do kołczana po strzałę na plecach. Tak właśnie w tej chwili wygląda Niobe: lewą dłoń wspiera na jagnięciu, łaszącem się u jej kolan, a prawą podtrzymuje ciężki zwój czarniejszych od hebanu włosów.

— Niobe!

Ten krzyk wyrwał się z mej piersi wbrew mej woli i chęci. Pieśń urwała się nagle. Niobe odwróciła się do mnie, spojrzała przedziwnie, a potem... potem zaczęła się śmiać, śmiać i śmiać.

I znowu olśniła mnie tym swoim śmiechem, co dzwonił srebrzystem dzwonieniem i kaskadami rozlewał się na wzgórza i doliny, na pagórki i jary, i jak hymn tryumfalny wzbijał się pod jasne niebo starej Hellady, rozpędzając swem brzmieniem radosnem te nieliczne chmurki, które bielą swoją znaczyły granatowy klosz pogodnego nieba.

Nic nie rozumiałem więcej prócz tego jednego, że doznałem olśnienia cudownego, które i myśli i zamiary moje odmieniło i skierowało na zgoła inne tory.

Nic nie rozumiem z tego wszystkiego, prócz jednej rzeczy, że ja, choć tyle dni i nocy spędziłem razem z Niobe — nie znam jej wcale. Jest dla mnie zagadką tem trudniejszą do odgadnięcia, że za każdym razem jest inna i bardziej tajemnicza.

Jest coś w niej takiego, czego rozum mój pojąć nie jest w stanie.

Podeszła do mnie w chwili, gdy ostatnia gama srebrzystego śmiechu skonała na jej wargach. Radość od niej biła taka, że cała ona wydała mi się uosobieniem radości.

I wtedy we mnie, gdzieś tam na samem utajonem dnie mej istoty budzić się począł drzemiący oddawna zwierz dziki i brutalny. Przyskoczyłem do niej, porwałem ją w ramiona i na mocnej i twardej piersi mojej zmiażdżyłem cudowną jej pierś, o usta moje, tchnące szalonem i dzikiem pożądaniem, szukały pękniętego granatu jej ust.

Lecz ona, wbrew moim przewidywaniom i przypuszczeniom, nie broniła się wcale. Spojrzała tylko na mnie tym swoim przebolesnym wzrokiem zranionej do głębi swych uczuć Niobe i... nim mnie obezwładniła. Puściłem ją natychmiast, a sam rymnąłem do jej bosych stóp, oplotłem jej nogi ramionami memi i zaszlochałem rozpacznie. Ach, dlaczego nie miałem w tej chwili ze sobą swych skrzypek i dlaczego nie mogłem grać! Czułem, że żal mój, skruchę i prośbę o przebaczenie oddałbym był w tonach skrzypek tak, jak nikt przede mną i nikt po mnie żalu tego oddaćby nie był i nie będzie w stanie.

Ona uśmiechała się do mnie teraz łagodnie, gładziła swoją długą, opaloną wiatrami i słońcem dłonią pieszczotliwie moją płową czuprynę, szeptała jakieś słowa, czego ja jednak nie rozumiałem, i tak trwaliśmy w tem dziwnem zespoleniu długo, dopóki żal mój nie wyrównał się i nie wygładził.

Minęło znów kilka nowych dni przerozkosznej sielanki. Ja nie odważałem się już na żaden krok taki, któryby mnie narażał na spojrzenie bolesne mojej pasterki. Dotąd jeszcze mam w pamięci spojrzenie ostatnie, które rumieni mi twarz. Nie, za nic na świecie nie odważę się na najdrobniejszy czyn brutalny. Jej śpiew budzi we mnie echa przeszłości i nadzieje na przyszłość. Długo myślałem nad ułożeniem planu, wreszcie pewnego ranka oznajmiłem Niobe, że odchodzę do Aten, by wrócić tu znowu.

Nie okazała żadnego zdziwienia, ani żadnego lęku. Była pogodna i uśmiechnięta, co uraziło mnie bardzo, więc rzekłem:

— Nie żal ci, że odchodzę?

— Wiem, że wrócisz.

— A gdybym nie wrócił?

Spojrzała mi głęboko w moje niebieskie oczy i powtórzyła z naciskiem:

— Wiem, że wrócisz.

Złość mnie ogarnęła.

— Skąd możesz być tego pewna? Mogą zajść przyczyny, które uniemożliwiają mi powrót.

— Mimo to — wrócisz.

I więcej nie chciała już ze mną na ten temat rozmawiać, ale oddaliła się do szałasu, by mnie zaopatrzyć w żywność na drogę. Potem odprowadziła mnie na jedno z najwyższych wzgórz i tutaj, wskazując mi dalsze pagórki, informowała o najlepszych przejściach i ścieżynach. Ciekaw byłem, czy zapyta mnie o przyczynę tej mojej wyprawy do Aten, ale ją zdawało się to wcale nie interesować. Była chłodna i obojętna.

Dopiero, kiedym już postąpił krok, by się oddalić, podbiegła nagle do mnie, zatrzymała mnie na jeden krótki moment i złożyła na mem czole pocałunek pożegnania.

— Dziwna kobieta — myślałem, idąc przed siebie — sama całuje mnie, lecz gdy ja ją pocałować chcę, doznaje przerażenia. Co w tem jest? Jaka tajemnica ją osłania?

Niobe długo stała na wzgórzu, na którym rozstaliśmy się i patrzyła za mną. Kiedy schodziłem w zagłębia gruntu, znikała mi z oczu, a gdy znowu wychodziłem na wyniosłości, ukazywała mi się, jak posąg, który błogosławi moim krokom. Około południa zgubiłem ją w przestrzeni i oddaleniu, ale czułem, że ona wciąż jest ze mną... wciąż mi towarzyszy i kieruje mojemi krokami.

Słońce stało w zenicie, gdy zatrzymałem się nad źródłem, aby wypocząć i posilić się. Woda, czysta jak najczystsza łza, sączyła się z pod kamieni jakichś starych rumowisk, które zapewno liczyły wieki życia.

Tędy przechodziły dzieje starożytne; tutaj tworzyła się historja, powstawała kultura helleńska, jako prawzór sztuki idealnej. Jedząc suchy, owsiany placek z rodzynkami, wpatrywałem się w omszałe kamienie i wywoływałem wizje przeszłości odległej i dawnej.

Po krótkim odpoczynku — ruszyłem znowu dalej, naprzód, przed siebie. Słońce przetoczyło się już na drugą stronę nieba i seledynowe mgiełki rozsnuwać się zaczęły na wzgórkach. Promienie słoneczne przenizywały je na wskroś i tworzyły fantastyczne figury.

Oto tam, na zachodzie, w kierunku, do którego dążę — widać kohorty koplistów maszerujące z brzękiem swych ciężkich zbroic, a srebro czystych grotów ich kopii błyszczy w słońcu tak, aż oczy ćmi.

To znowu powstają gaje święte, do których dążą starzy grecy tłumami. Z amfor unoszą się dymy kadzielne i snują prosto, ku niebu Korowody roztańczonej młodzieży krzykami napełniają świat. A potem wzbija się chóralny śpiew do matki Demeczy, darzącej ziemię żywnością.

Lecz co to? Gdzie ja słyszałem już taki śpiew? Tę samą melodię, ten sam głos? Ten głos do srebrnych dzwoneczków podobny i płynący na kroplach rosy z dźwiękiem niepojętym i jedynym. Miraż to, czy rzeczywistość, zjawa czy widok realny?...

Otrząsam się, przecieram oczy i wszystko to znika nagle, jak nagle przed memi oczami powstało. Ale wrażenie słyszanego śpiewu pozostaje; brzmi on wciąż w moich uszach i wywołuje we mnie tak przedziwne stany wzruszeń, że wyraźnie czuję, jak słabnę. Przysiadam więc na przydrożnym kamieniu, chwilę myślę, a potem... wstaje naraz we mnie pragnienie uwiecznienia tej pieśni. Ale na czem i czem? Przychodzi mi na myśl, aby melodję tę wyryć na owym kamieniu, na którym siedzę, ale nie mam nic takiego, czem mógłbym tego dokonać. A przecież czuję to bardzo wyraźnie, muszę zapisać na czemś tę niebiańską melodję. Daremnie przeszukuję wszystkie schowki mego odzienia. Nie mam nic, nic zgoła, coby mi mogło posłużyć do dokonania tego dzieła.

Ale oto przypomina mi się szczegół gdzieś czytany, że w braku atramentu i ołówka, można pisać krwią. Ta myśl pobudza mnie do szybkiego działania. Rozpościeram mój „chiton" na ziemi, ściągam mocno lewą rękę poniżej łokcia i znalezioną w mych szatach agrafką nakłówam nabrzmiałą żyłę. Rubinowa kropla ukazuje się na opalonej na bronz skórze mej ręki.

Zaczynam pisać melodję, która dźwięczy mi tak wyraźnie, jakby wciąż ją ktoś śpiewał tuż nad mojem uchem.

Ściemniało już zupełnie, kiedy nareszcie ukończyłem pracę. Szare palce zmierzchu zbierały na najwyższych wzgórzach ostatnie bisiory dnia, doliny pogrążone już były w mroku.

Z oczyma utkwionemi w połę chitona, zapisanego krwią moją serdeczną, siedziałem tak długo,

myśląc, ale o czem — nie wiedziałem ani wtedy, ani później. Dopiero gdy czerwona tarcza miesiąca podniosła się nad wapienne pagórki starej Altyki, urwałem zapisaną połowę chitona, ukryłem ją na piersiach i ująwszy długi pasterski kij w rękę, ruszyłem dalej.

VI

Jestem znowu w Atenach, w nowoczesnych, brudnych, handlarskich Atenach. Po sielankowem życiu z moją pasterką tam, na dalekich pagórkach, wśród stad owczych, gdzie człowiek żyje za pan - brat z naturą, nowoczesne Ateny robią na mnie wrażenie przygnębiające. Daleko im do Aten dawniejszych, jak i dzisiejszym Grekom daleko do Greków z przed lat conajmniej trzech tysięcy. Nowoświecczyzna, towary z markami „Made in England, Austria, Germany", aż rażą oczy swoją mnogością.

Dionizyjskie czasy minęły bezpowrotnie dla słonecznej Hellady. Gdzie jeszcze jedynie można znaleźć dawniejszą kulturę, życie powrotne i obyczaje nieskalane naleciałością nowoczesności, to w dalekich zakątkach tej ziemi, jak najbardziej oddalonych od brudnych gniazd wielkich miast, zdala od cywilizacji, która kazi czystość prostego życia i obyczajów.

Chodzę ulicami nowych Aten, wśród rozwrzeszczonych tłumów, śpieszących się niewiedzieć gdzie i niewiedzieć po co i oglądam wystawy sklepowe. Tak już odwykłem od tych, „cywilizowanych" warunków bytu człowieka dzisiejszego, że kiedy na pamięć przychodzą dawne wieki i dawne dzieje, zdaje mi się, że wszystko to, o czem prawią nam ludzie uczeni i w piśmie biegli, nie istniało nigdy, a te ruiny i te wykopaliska nie świadczą wogóle o niczem. Cała przeszłość helleńska z przed paru tysięcy lat poprostu nie istniała. Bo czyż możliwe, aby wszystko to: idealny ustrój państwa, bohaterskie czyny, olbrzymie podboje, wielkie ekspansje i kultura tak wspaniała, Comer, Solon, Safo, Pindar, Figlasz, Miron i jak oni się tam wszyscy zwali — aby to wszystko rozpadło się w gruzy, stało mitem? Cóż tedy? jakie dzieła ludzkie oprzeć się zdołają wszechmocnemu działaniu czasu? Tylu przedziwnych przemian była już ludzkość świadkiem! A co jeszcze zobaczy? Na te pytania trudno odpowiedzieć. Ja jedno tylko wiem dobrze, że z dzisiejszymi cywilizowanymi Grekami żyćbym nie mógł. Ci ludzie gotowi zawsze i wszędzie, gdy tylko nadarzy się sposobność, każdą cnotę rozmienić na drachmy. Jestem gotów powtórzyć za dawnym Rzymianinem: Timoe donaos et done gerento. — Tak, obawiam się Greków, gdy nawet przynoszą dary. Nie wiesz nigdy, gdzie cię Grek oszuka i co w danym momencie zechce na drachmy zamienić.

Dzisiejszym Zeusem gromowładnym w nowoczesnej Helladzie jest drachma bez różnicy w jakiej mennicy jest bita: w New Jorku, Londynie, Paryżu lub Berlinie.

— Drachma! Drachma! — oto naczelne zawołanie dzisiejszych Aten.

Mój ubiór pasterski i nie pierwszej świeżości, długa laska w ręku, płowa czupryna i także kręcąca się bardzo broda zdają się nie zwracać najmniejszej niczyjej uwagi. Chodzę więc z końca w koniec miasta i szukam tego, po co tu przybyłem. Ale teraz dopiero przypominam sobie, że przecież nie mam przy sobie złamanego szeląga, za który kupićbym mógł cokolwiek. A życie dzisiejsze bez pieniędzy jest marnem życiem. Łudzę się jednak, że los mi dopomoże. Jakoż nie omyliłem się. Kiedym bezmyślnie wlókł się ku portowej części miasta, jakieś dwie chude kobiety, podobne do śmierci angielskich na urlopie, zatrzymały się naraz o parę kroków przede mną, gdacząc coś w swojej okropnej mowie. Potem zbliżyły się do mnie, zapytując po francusku, czy pozwolę się sfotografować.

— Chętnie — odrzekłem najbardziej paryskim akcentem — pod warunkiem jednak, że mi panie zapłacą 20 drachm gotówką zgóry.

— Och, mówi pan po francusku jak rodowity paryżanin, a jest pan...

— Tylko pasterzem, madame.

— Pasterzem! Czy wszyscy pasterze greccy mówią tak dobrze po francusku i mają podobnie jasne włosy i niebieskie oczy? — spytała jedna miss.

— Nie wiem, madame. Ja już takim się urodziłem, czemu nie jestem przecie winien.

Obie lady zarechotały skrzekliwie, co miało, jak się zdaje, imitować śmiech i obnażyły calowej długości zęby, poczem jedna z nich, starsza, sięgnęła do torebki i podała mi żądaną zapłatę. Teraz już nic nie stało na przeszkodzie do uwiecznienia mojej postaci na kliszy fotograficznej. Jakoż trzasnęły Kodaki raz i drugi, obie Angielki zagdakały coś na pożegnanie i oddaliły się.

A więc zdobyłem potrzebną kwotę. Na kupno skrzypek nie starczy jej, ale starczy na nuty i potrzebne książki do nauki mojej pasterki. Bo właśnie postanowiłem sobie, że rozpocznę systematyczne kształcenie Niobe na wielką śpiewaczkę w stylu, jakiego dotąd nie było.

Dokonawszy zakupów, wszedłem do jakiejś portowej spelunki, aby posilić się obiadem. Była to typowa nora marynarska, gdzie gromadzą się codziennie włóczędzy morscy całego świata i przepijają wszystko, cokolwiek nadaje się do wymiany na wódkę lub wino.

Na estradzie mordował brudny grajek jeden z utworów. Bacha, który napewno, gdyby to był słyszał, najchętniej ległby powtórnie w grobie z rozpaczy. Pijackie wrzaski głuszyły całkowicie tony skrzypiec roztrojonych i kakofoniących. Nikt ani na grajka, ani na jego muzykę nie zwracał najmniejszej uwagi. Ale on grał i grał. Pot strugami zlewał mu całą twarz i przemaczał do cna kołnierzyk, grajek obcierał go dłonią i strząsał na podjum, poczem znowu rozpoczynał owo mordowanie da capo, lecz tym razem, dla odmiany, Straussa.

Wybrałem wolny stolik tuż przy estradzie biednego grajka i zamówiłem baraninę, a nim ona miała nadejść, pocieszałem się flaszką wcale dobrego, jak na podobną knajpę, wina. Ów boski nektar, wyciskany z gron winnych, rozlewawszy się po moich żyłach, napełnił mnie całego przedziwnem ciepłem. Mój umysł zdawał się być lotniejszy od najlotniejszego orla górskiego, a fantazja kreśliła przedemną miraże złudne i ukazywała mi życie w tak ponętnych barwach, wolne od jakichkolwiek trosk i kłopotów, że poczułem się daleko szczęśliwszym niż nim kiedykolwiek byłem.

Ale wtem i baranina zjawiła się na stole. Dymiąca, aromatyczna, szpikowana czosnkiem, owym narodowym przysmakiem helleńskim, bez którego żaden Grek nie potrafi przełknąć żadnej potrawy.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

14)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Prawdopodobnie obie gwiazdy zgodziły się ze swoim reżyserem; w każdym bądź razie protestów nie było.

W hotelu na placu Vendome zatrzymali się inni jeszcze pasażerowie „Goji." Król świń, ażeby tylko bliżej być Maniji d'Or; młody Viljegas, który prześladował swoją gorącą miłością Mar - Molli i szalona Lilian.

Ona stale zamawiała depeszą apartament z oknami na plac Vendome i na bank Morgana, a podrugi nie chciała zrywać kontaktu z trupą, a raczej z Gromenią, który codziennie przybiegał do hotelu.

Biednemu komikowi wcale nie łatwo dostawały się hojne datki zwarjowanej Amerykanki. On był listonoszem miłości między nią a Donkundą. Rola bardzo trudna i nader „dyplomatyczna."

Z jednej strony trzeba było uspakajać pełną ognia Lilian z jej afrykańskim temperamentem, z drugiej — pobudzająco działać na Senegalczyka, który nie miał nietylko afrykańskiego, ale zgoła żadnego temperamentu...

Zgodnie z rozkazem, Gromenia o pierwszej zjawiał się w hotelu. W tym czasie Lilian, leżąc w łóżku i jedząc śniadanie, przyjmuje przyjaciół, krawcowe, chińczyka od pedicure'u i Gromenię.

W jej zębach chrupią kosteczki pulardy, sos kapie na drogą, jedwabną kołdrę. Pulardę Lilian zapija mocnym koniakiem. Chińczyk łapie jej nogę i wreszcie złapawszy, zaczyna pracę, przyczem rozchodzi się silny zapach gęstego, czerwonego płynu i... jego własny.

Gromenia postępuje z nogi na nogę i porusza wargami.

— Czy mówił pan, że ma przyjść do mnie?

— Nie mówiłem, a przekonywałem... Oh, widzi pani, jak ja go przekonywałem, serenissima!

— I cóż?

— On... on się krępuje...

— Krępuje się?... Patrzcie jaki czarnoskóry Józef Piękny! Ja chcę go, słyszycie, chcę mojego murzyna!... Chcę, chcę!

I wyrwawszy swoją chudą nogę z rąk Chińczyka, Lilian tłukła nią po prześcieradle.

— Serenissima, ja robię wszystko możliwe... Więcej — ja robię niemożliwe...

— Więc gdzie są rezultaty, gdzie, gdzie, stara gaduła? Gdzie mój murzyn? Co on mówi panu?

— On mówi: boję się!... I, — Gromenia zrobił minę, jak gdyby ugryzł się w język.

I co tam jeszcze?

Ja, ja... nie śmiem...

Proszę mówić!

To... niezupełnie wypada...

Tembardziej: ja strasznie lubię to, co nie wypada!

— Proszę się nie gniewać na niego, serenissima... Gdzież ten dzikus może zrozumieć i ocenić gust porządnej kobiety?!

— Krócej, stary gaduła, krócej!

— Pani go przestraszyła tem, że... on wciąż twierdzi, że pani go pogryzła i podrapała!...

— Więc cóż z tego?... Dureń, to przynosi mu zaszczyt. Jeśli on, jak to mówią Francuzi, działał na moją skórę...

— Co począć z takim ciemnym, niekulturalnym człowiekiem?!... — współczując wystękał Gromenia.

— Prosze go przyprowadzić do mnie na obiad! Dziś wieczorem... Zjemy obiad we trójkę, a później ja pana wypędzę...

Już na samą perspektywę dobrego obiadu w hotelu, który słynął z kuchni, Gromenia poczuł ślinę w ustach.

— Serenissima...

— Do djabła z „Serenissimą"! Tak czy nie?

— Prawdopodobnie „tak!" Tylko trzeba go tu zwabić, jak się zwabia dzieci cukierkami. Jeśli Sereniss przepraszam, madame podaruje mu chociażby masywny złoty chronometr... Ale koniecznie z dzwonieniem... Tych dzikusów trzeba znać i ja prawie nie wątpię...

— Kup pan chronometr z dzwonieniem!... Natychmiast! Proszę, — Amerykanka zanurzyła swoje białe, chude palce w torebce, leżącej na łóżku, i nie patrząc wyciągnęła garść tysiąc-frankowych banknotów.

— Weź pan to!

Gromenia pospiesznie wziął pieniądze. Chińczyk pedikurzysta spoglądał obojętnem wzrokiem.

— Ale Sereni... przepraszam, senjora, madame, ośmielę się zaproponować, co następuje: najpierw pokażę mu chronometr, zademonstruje bicie, a potem powiem: „Ty otrzymasz to z jej boskich rączek!"... Przysięgam, że nie zostawię mu, tylko pozwolę się dotknąć!

— Niech się dotknie. I proszę dodać, że ani drapać, ani gryźć nie będę.

Gromenia kupił chronometr i zarobił na tej kombinacji 2.800 franków. Psychologiczne obliczenia starego Włocha, były trafne — chronometr zrobił na Donkundzie daleko większe wrażenie, aniżeli czek na ćwierć miljona. A gdy masywna złota zabawka przemówiła, melodyjnie wydzwaniając godziny, półgodziny i kwadranse, to ostatecznie oczarowało i pokonało Senegalczyka...

— Daj, daj, daj!... — jak krnąbrne dziecko błagalnie wyciągał ręce do czarownej zabawki.

— Nie, gołąbku! Wieczorem ona sama ci da. Czy Donkunda mógł się oprzeć pokusie?

Jego cnotliwość i strach przed kobietami zostały złamane...

29 Po wielu latach..

Jak na początek paryskiego maja z zapachem kwitnących lip i kasztanów, z gorącem, już letniem słońcem, ten pan był, bodaj za ciężko ubrany we wszystko czarne, począwszy od świetnie skrojonego ubrania i krawatu, a kończąc na meloniku i rękawiczkach.

Koło dworca Muette odprawił taksówkę, dając solidny napiwek szoferowi, i skierował swoje kroki szeroką aleją w kierunku lasku Bulońskiego. Szedł sztucznie i nerwowo wymachując laską, nie tak, jak to robią ludzie spokojni..

Oto i avenue Raphael, oto pałacyk króla perfum Koty'ego. Pan w czarnem szedł dalej, obserwując numery na metalowych kratach i furtkach.

Jak pusto w tej okolicy.

(Dalszy ciąg w następnym numerze.)

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 107

Po chwili całe towarzystwo przeszło przez portal. Elżutka szła obok Anielci i trzymała ją za rękę.

„Niech Bóg błogosławi tę chwilę," zawołał hrabia Zygmunt w uroczystym tonie. „Oby każdy twój krok, Anielciu, przyniósł ci szczęście. Ja z mojej strony postaram się, wynagrodzić wszystkie krzywdy. Ach, długo trwało, zanim losy pozwoliły mi przycisnąć cię do piersi."

„Ojcze, — mój ojcze!" zawołała Anielcia i rzuciła się hrabiemu na piersi, „nie mówmy, ojcze, o przeszłości! Ta chwila szczęścia zmywa moje wszystkie cierpienia. Obecnie nie myślę o minionych walkach. Dzisiaj otrzymałam wynagrodzenie, gdyż z tobą, ojcze, znajduję się w tym domu! Ach, czuję się nadzwyczaj szczęśliwa!"

„Twoje szczęście nie jest jeszcze zupełne," zawołał hrabia Zygmunt. — „Wiem, co ci brakuje! Anielciu, cierpliwości. — Chodźmy! Zaprowadzę cię do apartamentów, które będą twojem przyszłem mieszkaniem."

Anielcia wyjrzała w tej chwili do ogrodu, otaczającego zamek i zwracając się do Zygmunta, rzekła proszącym głosem:

„Ojcze, pozwól mi na krótką samotność. Muszę pozbierać trochę myśli, gdyż niespodziewane szczęście oszołomiło mnie zupełnie. Apartamenta zobaczymy później. — Teraz opuszczę cię na kilka minut."

„Dobrze, moje dziecko," rzekł Zygmunt, spoglądając czule na swoją ukochaną córkę, — „przynieś mi pierwsze kwiaty, które zerwiesz w tym ogrodzie."

Wdzięczne spojrzenie wynagrodziło Zygmunta za te słowa. Anielcia udała się do ogrodu, a hrabia z Elżutką, prowadzony przez starego Walentego, wszedł na schody, które prowadziły na pierwsze piętro.

„Każde szczęście ma swoją złą stronę," zauważył cierpko Zygmunt. — „Przeżyjemy ciężką godzinę, gdyż Anielcia nie przeczuwa, że jej matka znajduje się w beznadziejnym stanie."

„Jakto?" zawołał Walenty drżącym głosem, pan hrabia nie powiedział tego swojej córce?"

„Nie," odparł Zygmunt, „nie miałem odwagi! — Anielcia była tak szczęśliwą, — nie chciałem jej smucić! Zresztą najdalej jutro dowie się o wszystkiem."

— — — — — —

Anielcia biegała po ogrodowych ścieżkach. Dziwiła się, że ten piękny zamek, te cudowne ogrody, — będą jej przyszłą ojczyzną! — Tak, zamieszkała tutaj na zawsze. Tutaj znajdzie urzeczywistnienie swoich marzeń, za któremi tak tęskniła, błądząc po dalekim świecie.

Będzie wiodła żywot okraszony promieniami miłości i przyjaźni!

Anielcia stanęła nagle. Przed sobą widziała mały domek, tonący w świeżej zieleni.

Dlaczego okna tego domu były zakratowane? Przecież ten dom nie był więzieniem, — o pomimo tego zabezczono okna kratami? — Przejęta ciekawością, — weszła na schody, prowadzące do drzwi i znalazła się w pokoju, w którym się nikt nie znajdował.

W całym domu panowała niczem niezamącona cisza. Znikąd nie dochodziły dźwięki ani śmiechy. Wyglądało to wprost na bajkę, ponieważ ten dom leżał w środku ogrodu.

Teraz stała Anielcia przed drzwiami, prowadzącemi prawdopodobnie do drugiego pokoju.

Otworzyła ostrożnie drzwi i przekroczyła próg.

W tej samej chwili stanęła, jakby rażona piorunem. We fotelu zobaczyła bladą, schorowaną postać, której rysy były podobne do marmurowej rzeźby. — Była to stara, chora kobieta, stojąca już nad grobem. A pomimo tego Anielcia nie doznawała uczucia trwogi. Nie, czuła tylko litość, zdawało się jej, że ją sprowadziła tutaj Opatrzność.

Obłąkana siedziała na fotelu. Jej wzrok spoczywał badawczo na Anielci i ożywiał się z każdą chwilą.

„Pani chora?" zapytała piękna dziewczyna, schylając się nad fotelem, „o, dzisiaj nikt nie powinien cierpieć w tym zamku. Dzisiaj zajaśniało nad tym budynkiem słońce szczęścia."

„Tak, tak", rzekła cicho biedna obłąkana. „Drogie dziecko, ty jesteś tem słońcem! Zostań przy mnie!"

Anielcia usiadła obok chorej. Uklękła na małym taborecie, na którym spoczywały nogi staruszki.

Nagle zadrżała chora. Zapadnięta pierś zaczęła niespokojnie falować. Palce Almy spoczęły na twarzy Anielci.

„Przyszłaś"? zapytała cicho nieszczęśliwa kobieta. — „Wreszcie, — wreszcie! Ach, długo czekałam na ciebie. — Nie, to nie jest złudzenie, — to prawda! — Rzeczywistość! — Toś ty, — Anielcia, — moje dziecko, — moje dziecko!"

Anielcia zerwała się i wyciągnęła ręce przed siebie. Opanowało ją straszne wzruszenie, gdyż nagle zjawiło się przed nią wielkie, ponure pytanie, o którem nic nie wiedziała, — pytanie łączące jej przeszłość i przyszłość.

Czyżby ta chora kobieta była tą, którą dotychczas ciągle opłakiwała. Widziała więc swoją rodzicielkę, ukochaną matkę?

Anielcia myślała o tem tylko przez jedno oka mgnienie. W jej duszy wołał potężny głos: ta, to twoja matka! Nazwała cię przecież po imieniu. Zresztą brzmienie tego głosu, spojrzenia, w których odbijał się ogrom cierpień, — były nieomylnemi znakami. — Owa nieszczęśliwa obłąkana była jej długo poszukiwaną matką!

Czyż potrzeba było zewnętrznych znaków? Wewnętrzny głos mówił aż nadto wyraźnie!

Dlaczego doznała Anielcia takiego dziwnego wzruszenia na widok tej chorej kobiety?

Dlaczego, idąc za popędem serca, ucałowała ręce nieszczęśliwej pacjentki?

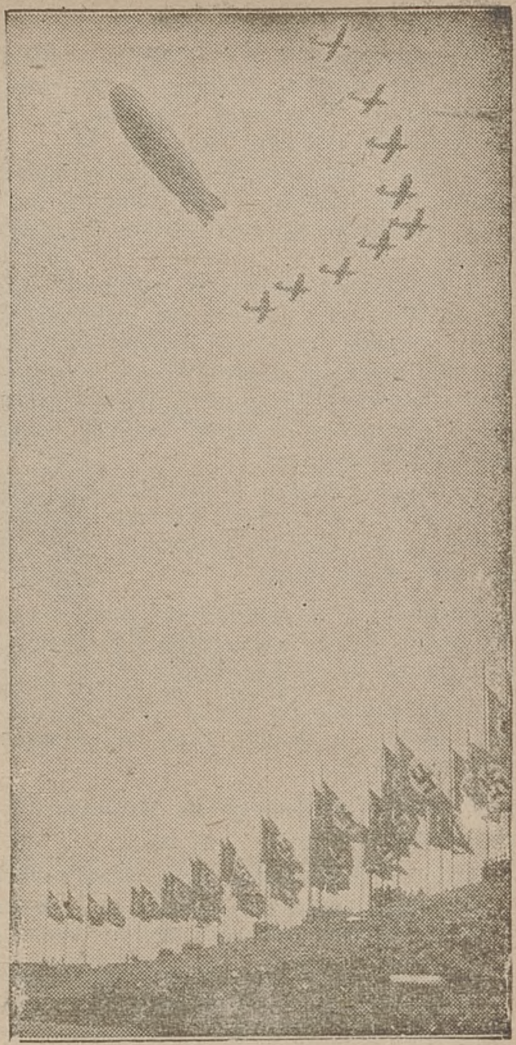
Dlaczego płakała teraz tak rzewnie?

Dlaczego ukryła głowę na łonie obłąkanej?

„Matko, — mateczko, — mateczko!" zapłakała Anielcia.

Alma przytuliła ją do piersi i spojrzała jej głęboko w oczy, jakby chciała odczytać najtańsze myśli.

„Tak, to ty!" zawołała obłąkana przeraźliwym głosem, „Anielciu, moje dziecko! — Precz, doktorze Morizano, podły łotrze, wara ci od mojego dziecka! — Ha, prędko, — Dubois, — uciekajmy! — tam brzękło okno! — Zbiry nadchodzą! — Weź dziecko! — Trzeba je ratować za każdą cenę! — Ha, chwytają mnie! — Biada mi, rzucili



Dla uświetnienia uroczystości norymberskich, zorganizowanych z okazji „dnia partyjnego" narodowych socjalistów, sprowadzono również olbrzyma powietrznego „Hindenburg", który wykonał szereg ćwiczeń przy współudziale klucza samolotów wojennych.

mnie na ziemię. — Puszczajcie, — gdzie moje dziecko? — Anielciu, Anielciu, Anielciu! — Zygmuncie, pomóż mi, — porwali mi dziecko."

Z każdą sekundą wzrastała straszna namiętność obłędu. — W chorym mózgu powstały ponure obrazy przeszłości.

Widziała się znowu w zakładzie doktora Morizano. Jeszcze raz przeżywała ową godzinę, w której się jej nie powiodła ucieczka z Dubois, — ową godzinę doświadczenia, kiedy los rozłączył ją z córką, — godzinę, będącą wstępem do obłędu.

Anielcia patrzyła z przestrachem na ten wybuch wariactwa. Chciała uciekać. Lecz tylko chwilę panowały uczucia bojaźni w jej duszy.

Anielcia z wyciągniętemi ramionami zwróciła się do nieszczęśliwej i powstrzymała ją od upadku.

Alma zawisła na piersi Anielci. Zwiesiła głowę, a długie, siwe włosy spadły na ziemię.

Z gardła wydobyły się dziwne, niezrozumiałe słowa.

Anielcia zauważyła w rysach matki olbrzymią zmianę. — Ha, to była śmierć, koniec życia!

Anielcia nie wątpiła, że umierająca jest jej matką. — Nazwisko Morizano, wspomnienie nieudanej ucieczki, — wszystko to zgadzało się dziwnie z tem, co jej opowiadał przybrany ojciec Dubois. — Ta męczennica była jej ukochaną matką!

„Mamo!" zawołała Anielcia rozpaczliwie i przytuliła omdlałą kobietę do swej dziewiczej piersi, „mamusiu, — otwórz oczy, — spojrzyj, — wymów jedno słowo. Prosi cię o to twoje dziecko, twoja Anielcia, twoja córka! Błagam cię o ostatnie spojrzenie i błogosławieństwo. Na pomoc, — na pomoc, — moja matka umiera!"

CCX.

Wybawiona

Alma leżała ciągle w objęciach swojej córki. Anielcia podniosła umierającą i złożyła ją na kanapie. Teraz ujęła ją za ręce.

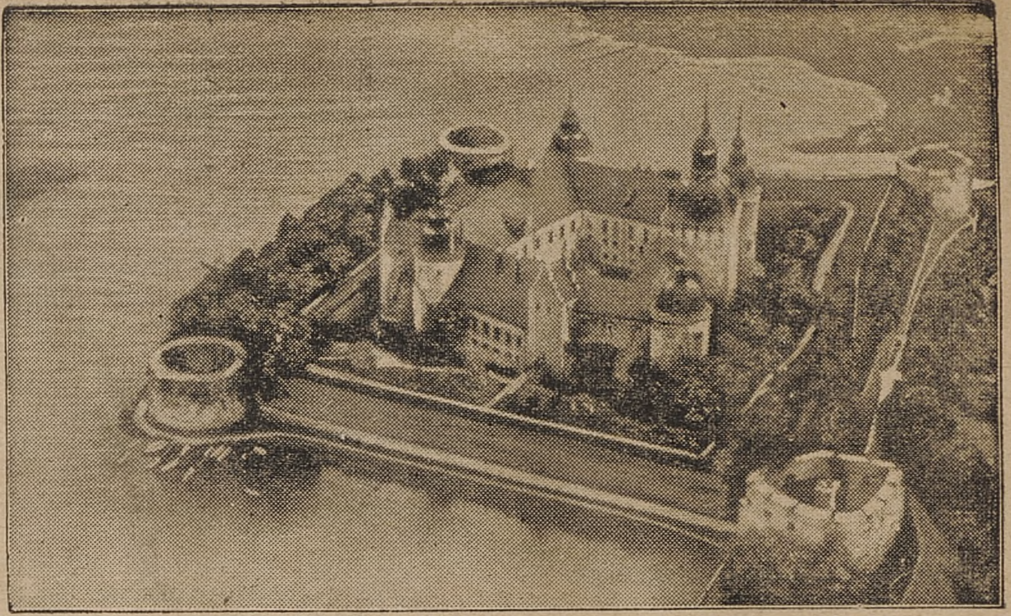
Ach, były zimne jak lód. Anielcia tarła te drogie ręce, całowała, lecz zimno nie ustępowało.

Mówiła do niej we wszystkich odcieniach dziecięcej miłości, błagała, prosiła, — naprożno! Nagle zerwała się Anielcia i wybiegła jak szalona do ogrodu.

O Boże, — jaka straszna godzina w pierwszym dniu pobytu w tym ojcowskim domu! — Tak wyglądało szczęście w murach tego zamku?

„Na pomoc!" wołała Anielcia, biegnąc po schodach, prowadzących do ogrodu, „na pomoc, — moja matka umiera! — Ojcze! — Elżutko! — Znalazłam mamę — niestety umiera!"

Z ławki w bocznej alei podniosła się męska postać i podbiegła ku Anielci.



Pod Kalmarem (Południowa Szwecja) znajduje się starożytny zamek, w którym przed 500 laty zawarto układ, mający na celu zjednoczenie ziem szwedzkich.

— Jeszcze raz wydobył się z piersi dziewczyny okrzyk rozpaczy. Lecz po chwili z tych samych ust wydarł się okrzyk radości i zachwytu:

„Kazimierz, mój Kazimierz! — Bóg sprowadza go w samą porę!"

„Anielciu, odparł Kazimierz, „moje drogie, ukochane dziewczę, — wreszcie widzę cię! Teraz nie rozłączymy sią aż do śmierci!"

Obydwoje padli sobie w objęcia i spoglądali głęboko w oczy.

Usta zakochanej pary, złączyły się w namiętnym pocałunku.

Anielcia pierwsza otrząsnęła się z upojenia i zawołała wzruszonym głosem:

„O, Kazimierzu, znalazłam moją mateczkę, tam — w tym domku. Niestety umiera! Ratuj, — pomóż, nie opuszczaj mnie!"

„Chodźmy," odparł Kazimierz. „Jeżeli jej nie wyratujemy, to przynajmniej przymkniemy jej oczy do wiecznego snu!"

„Kazimierzu, Anielciu!" odezwał się ktoś w górnej alei i po chwili pokazał się Zygmunt z Elżutką.

Za nimi szedł stary Walenty.

Kazimierz przywitał Zygmunta i opowiedział mu w kilku słowach całe zajście.

W kilka minut później całe towarzystwo otoczyło kanapę, na której złożyła Anielcia umierającą. Piękna dziewczyna rzuciła się na kolana.

Ujęła matkę za ręce, jakby chciała ją zatrzymać na progu śmierci.

Obok Anielci stał Kazimierz, po drugiej stronie kanapy Zygmunt z Elżutką.

Stary Walenty czekał przy drzwiach. Złożył ręce i za przykładem siostry miłosierdzia modlił się do Stwórcy.

Grobowa cisza zapanowała w pokoju, w którym biedna Alma przeżyła tyle lat.

Przez okno wpadały promienie słońca. W zielonym gaju ptaszek zanucił uroczą piosenkę.

„Tak, moja Anielciu," przemówił wreszcie Zygmunt, „klęczysz przy łożu twojej matki. Ta nieszczęśliwa dała ci życie! Kochała cię nad życie! Gdy los wydarł cię z pod jej opieki, wówczas straciła władze duchowe i żyła w obłędzie!

„Niegdyś kochałem ją całą siłą młodocianego serca! Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby nie źli ludzie, którzy chcieli nas gwałtem rozłączyć. Lecz dzisiaj, kiedy twoja matka opuszcza nas na zawsze, wyznaję otwarcie moje winy. — Zatrułem jej życie i nie przebaczę sobie tego nigdy, żem wątpił w czystość tej duszy i wyrządził jej tyle przykrości."

Potok łez stłumił głos hrabiego. Zakrył twarz dłonią i rzekł cicho:

„Almo, — moja biedna Almo, — odejdziesz, nie przebaczywszy mi mojej winy?"

„Zygmuncie, ona ci przebaczy!" odparł nagle srebrny głosik, „patrz, otwiera oczy, — wraca do życia."

Te słowa wymówiła Elżutka. Jedną ręką oparła się na Zygmuncie, a drugą wskazała na Almę.

Tak, jeszcze raz wracało życie w złamanem ciele, — jeszcze raz wyswobodziło się serce ze śmiertelnych uścisków, — a oczy spoczęły na córce z wyrazem niewysłowionego smutku.

W ostatniej chwili zajaśniało oblicze chorej radością i wesołością, jakby te dwadzieścia lat męczarni przeszły niespostrzeżenie nad obłąkaną.

„Gdzie jestem?" szepnęła, przecierając ręką oczy, „o Boże, co mi się stało? Zygmuncie, — Zygmuncie, mój przyjacielu, czyś to ty?"

„Tak, to ja, Almo. Ja jestem tym nieszczęśliwym, który wtrącił cię w rozpacz i nędzę!" odparł głucho hrabia Sokolski.

„Cicho, mój przyjacielu!“ zawołała Alma i chwyciła go za rękę, „to był tylko sen, straszny, — przykry sen! Jestem przy tobie! Nieprawda, — jesteśmy na zamku Sokolskich, o którym mi tyle opowiadałeś? Obiecałeś zaprowadzić mię tam jako swoją żonę!“

„Jako żonę!“ zapłakał Zygmunt, „tak, miałaś panować w tym zamku i teraz —

„Niestety spałam długo!“ mówiła umierająca, — „wprawdzie sen był straszny, — lecz za to przebudzenie jest tak piękne i urocze! Widzę twoje ukochane rysy i moje drogie dziecko! — Zygmuncie, patrz, to nasze dziecko, Anielcia! — Nieprawda, mój przyjacielu, to Anielcia, moja córka?“

„Tak, — Anielcia stoi przy tobie, hrabianka Sokolska. Droga Almo, tobie nie mogę dać szczęścia, ale za to przyrzekam ci, że wytężę moje wszystkie siły i zapewnię dobrobyt naszemu dziecku.“

Alma spojrzała na Zygmunta z wyrazem niewysłowionej wdzięczności. Uśmiechnęła się słodko i rzekła cicho:

„Jeżeli ją będziesz kochał, to umrę spokojnie, — i chętnie!“

„Mamo, ty musisz żyć!“ zawołała Anielcia i spojrzała na Almę załzawionym wzrokiem, „będę cię pielęgnowała i kochała. Może mi się uda wyratować cię, — droga mamo!“

(Dalszy ciąg w nast. numerze)



Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 11 października 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transm. nabożeństwa z Krakowa 10.30 Muzyka z płyt 11.25 Koncert Berlińskiego Chóru Solistów pod dyr. Waldo Favre 12.03 Poranek symfoniczny 14.30 Koncert solistów 15.30 Audycja dla wsi 16.30 Fragment słuchowiskowy z dramatu „Czyściec św. Patryka" 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie 19.00 Sezon literacki rozpoczął się — szkic literacki 19.20 Barwne dźwięki (płyty) 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 koncert w wyk. Łódzkiej Orkiestry Salonowej 22.10 Koncert kameralnego zespołu instrumentalnego K. T. M. 22.40 Muzyka taneczna (płyty).

Poniedziałek, dnia 12 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 W jesienną noc na niebie — pog. dla dzieci 12.03 Zespół fortepianowy Ivory Koys i Karol Kuljman 12.40 „O niektórych trudnościach wychowawczych": „Upór" — pog. 15.15 1000 taktów muzyki 15.55 Wszystkiego potrochu — aud. dla dzieci 16.15 „Nowa pisownia — Wskazówki praktyczne 16.30 Koncert ork. mandolinistów „Halka" 17.05 Naprawa Rzeczypospolitej w 16-tym wieku — odczyt 18.50 Czy rolnictwo ma się lepiej — pog. 19.00 Audycja strzelecka 19.30 Recital śpiewaczy Wandy Rössler-Stokowskiej 20.00 „Tańce polskie" — w wyk. orkiestry 58 p. p. 21.00 Słuchowisko pt. „Pani zabija pana 22.00 Koncert symfoniczny 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 13 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wyk. zespołu Pawła Rynasa 15.15 Fragmenty z op. Puccini'ego (płyty) 16.00 Stolica i jej sprawy 16.30 Konc. w wyk. Kwartetu Salonowego Rozgł. Krak. 17.00 „Pomocnica domowa" — odczyt 17.15 Muzyka lekka 17.50 Reforma gościnności — monolog 19.00 Dyskutujmy: „Pracownik maszyna, czy współpracownik człowiek" — odczyt 19.20 Recital śpiewaczy Aune Antti 20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radia 20.15 Koncert małej orkiestry P. R. z udziałem „Czwórki radiowej" 21.30 Recital śpiewaczy Ign. Weissenberga 22.00 Muzyka (płyty) 22.30 Recytacje poezyj 22.45 Koncert w wyk. kapeli Feliksa Dzierżanowskiego.

Środa, dnia 14 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół „Mój przyjaciel Puk" 12.03 Koncert ork. Tad. Seredyńskiego 12.40 Piece i okna przed zimą — pog. 15.15 Koncert ork. „Almar i Otten" 16.10 Zagadka historyczna — aud. dla dzieci starszych 16.30 Koncert zespołu W. Tychowskiego i Jerzego Rosnel 17.00 W walce ze szpiegostwem — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 Wspomnienie pierwszego rektora Wszechnicy Wileńskiej 18.50 „Spadek" — felieton prawno - społeczny 19.00 „Nadęta konkurencja — pierwszy lot balonem 19.20 Utwory Maurycego Ravela (płyty) 21.00 „Opowieść o Chopinie" — wieczór I. 21.30 Koncert w wyk. chóru im. Stanisława Moniuszki 22.30 Koncert rozrywkowy z Wilna.

Czwartek, dnia 15 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek dla szkół powszechnych 12.03 Pieśni i tańce różnych narodów 12.40 Gospodarstwo melioracyjne — pog. 15.15 Śpiewacy Warszawy (płyty) 16.20 „Chwilka pytań" — dla dzieci starszych 16.35 Koncert poznańskiego zespołu salonowego 17.00 „Robotnik w Niemczech" — felieton 17.15 Recital fortepianowy J .Gimpla 17.50 Książka i wiedza 19.00 Premiera słuchowiska pt. „Wieczory rodzinne" 19.30 „Imieniny Jadwisi" — konc. w wyk. małej orkiestry P. R. 20.10 Inauguracja sezonu Opery Warszawskiej — „Straszny Dwór" 23.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 16 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka orkiestrowa (płyty) 15.15 Muzyka na instrumentach dętych (płyty) 16.30 Koncert rozrywk. w wyk. małej orkiestry P. R 19.00 „Józef Siwek" (opow. z ziemi Olkuskiej) 19.20 Z pieśnią po kraju 20.00 Koncert Symf. z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Nowa pisownia" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 17 października 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Śpiewajmy piosenki 12.03 Trio Salonowe Polskiego Radia 14.30 Wesoła aud. dla dzieci 15.15 Wiązanki filmowe (płyty) „Columbia" 16.15 „Humoreski i scherza" — w wyk. orkiestry 17.00 Koncert solistów 17.50 „Przegląd wydawnictw" — prof. Henryk Mościcki 19.00 Aud dla Polaków zagranicą 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 „W dzień śmierci Chopina" 21.45 Koncert pod dyr. Olgiera Straszyńskiego 22.30 „Kometa Higginsa zbliża się do ziemi" — wesoła audycja 23.00 Muzyka taneczna.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. W, Ż. Borek. Numery, o które pan prosił, wysłaliśmy Brakujące numery może Pan nabyć każdej chwili w naszej redakcji. Za wyrazy uznania i piękne życzenia — dziękujemy Panu gorąco.

CHWILA ZASTANOWIENIA

ZADANIA HISTORYCZNE

pod Z. Z. z R.

```
. . . . X . . . .
. . . X . . . .
. X . . . . . .
. . . X . . . .
. . X . . . . . .
. . . . . X . . .
. . . . . X . . .
. . . . . . . X .
. . . . . . X . .
. . . . . . X . .
. . . . . . X .
. . . . X . . . .
```

W miejsce kropek i krzyżyków należy powstawiać litery tak, aby rzędy poziome utworzyły nazwiska uczestników powstania listopadowego, a litery na miejscach krzyżyków — imię i nazwisko jeszcze jednego uczestnika powstania.

S Z A R A D A

Pierwsze — zwykle ludzi zdumiewa,
Drugie — rzeczownik nijaki miewa,
A *czwarte* — *trzecie* wtedy znajdziecie,
Gdy w starych zbrojach szukać będziecie,
Całością — będzie ród stary, potężny,
I zasłużony, prawy i mężny.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązanie należy nadsyłać do piątku, 16 października br.

Rozwiązanie zadań z nr. 39 „Moich Powieści": *Krzyżówka magiczna:* 1) Plus — wolt. 2) Lato — atak. 3) Ut — koper — ma. 4) Sok — drę — tam. 5) Od — e — mo. 6) Premier. 7) Ee — i — rb. 8) War — mer — Ada. 9) Ot — torba — nr. 10) Lama — Duma. 11) Tkam — arak. Szarada: Baldach.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: „Eros", Bogumił Stolecki — Kostopol, Arkadjusz Bieńkowicz — Łódź, Marja Kowalakówna — Kleck, Władysław Palęcki — Władywostok, Mira Iwankiewiczówna — Pińsk, Wiktorja Łabucka — Andrychów, Maria Szelska — Gdynia, Mirosław Szelski — Gdynia, Kazimierz Wilgosz — Tulicze.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Mirze Frankiewiczównie z Pińska i Arkadjuszowi Bieńkowiczowi z Łodzi

H-U-M-O-R

Reszta

Starszy pan podchodzi do dwóch jednakowo ubranych dziewczynek i pyta:

— Jesteście pewnie bliźniątkami, co dziewczynki?...

— Nie, proszę pana... — odparły dziewczynki.

— Ile masz latek?...

— Siedem...

— A ty?

— Też siedem...

— Więc przecie jesteście bliźniętami!

— Nie... My dwie stanowimy resztę trojaczków!...

Na złodzieju czapka gore

Pan Kropidło, idąc do domu, nie może sobie dać rady z powodu strasznej ulewy; szuka wprawdzie schronienia, nie może go jednak znaleźć. Nagle spostrzega przed sobą znajomego, goni go więc i żartem odzywa się do niego:

— A daj pan parasol.

Zaczepiony w ten sposób odwraca się i wtedy dopiero pan Kropidło spostrzega, że się pomylił i że to wcale nie jest znajomy. Stwierdziwszy tę pomyłkę, już chce za nią przepraszać, gdy nagle zaczepiony podaje mu parasol i mówi:

— Niech pan przebaczy i nie wzywa policjanta. Prawda, że zabrałem parasol z kawiarni, napewno jednak nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że należy on do pana...

„Kolega“.

Dramaturg Sasza Guitry, zjadłszy obiad w restauracji paryskiej, zażądał rachunku. Okazało się, że miał do zapłacenia 200 franków. Wręczając je kelnerowi rzekł:

— Oto 200 franków, ale powiedzcie gospodarzowi, że to nieładnie, że tak obdziera kolegę.

Po chwili zjawia się właściciel i usprawiedliwia się, że nie wiedział, że jego gość jest restauratorem.

— Ależ nie jestem bynajmniej nim — odparł Guitry, — jestem bandytą.



Jesienna tragedia'



Do namaczania bielizny: HENKO, soda do prania i bielenia.

Matematyka

— No dobrze, mój chłopcze, orjentujesz się, 2 w 10 mieści się 5 razy. No, a powiedz mi, ile razy mieści się 10 w 2? Czy to wogóle może się zmieścić?

— Może, proszę pana psora.

— W jaki sposób?

— Przecież 10 palców mieści się w 2 rękawiczkach.

Życie rodzinne

Rzecz dzieje się w Meksyku.

Do dyrektora wielkiego banku zgłasza się jeden z urzędników, don Pedro Gonzalez.

— Panie dyrektorze, chciałbym prosić o dwa dni urlopu. Muszę wyjechać w sprawie rodzinnej. Jutro wieszają mojego brata.

W sklepie

Kupująca (starsza pani): Ależ to nie kość słoniowa, to róg.

Subiekt (dobry obserwator): Łaskawa pani, widocznie i słonie mają fałszywe zęby.

Zrozumiałe

— Wiesz, Karolciu, twój narzeczony ma krzywe nogi.

— Nic dziwnego, moja droga, nie może być inaczej, skoro całe brzemię interesów firmy spoczywa na jego plecach.

W restauracji

Kelner: Ostatni raz szanowny pan był u nas miesiąc temu...

Gość: Tak... wtedy, gdy jadłem pierwszą połowę tego zająca, którego podano mi dziś...

Nieporozumienie

Starszy pan chce dopomóc młodzieńcowi:

— Niech pan się nie krępuje, z góry wyrażam swą zgodę.

— Na co? — pyta młodzieniec.

— Na pana małżeństwo z moją córką! Przecie pan przychodzi prosić o jej rękę?

— Ach, przepraszam, dzisiaj chciałem tylko prosić, aby mi pan pożyczył 50 zł.

— Pożyczyć pięćdziesiąt złotych? Ależ mój panie, przecie ja pana prawie nie znam!

Rachunek prawdopodobieństwa.

Mały Piperman stawia pierwsze kroki na drodze karjery szkolnej w szkole elementarnej. Jest lekcja rachunków — nauczyciel pyta.

— No, powiedz mi, ile będzie pięć mniej dwa?

— Jeden, panie profesorze.

Nauczyciel mówi łagodnie, aby nie zrażać dzieci:

— Mnieby się zdawało, moje dziecko, że raczej trzy...

— Trzy — mówi pan profesor? Też może być nieźle.

W drodze powrotnej z pijatyki

— Jasiu! Chyba nie powiemy w domu, gdzie byliśmy...

— Tak... A czy ty wiesz, gdzieśmy wogóle byli?

Nie nadaje się...

Pan Pijacki, wielki amator trunków, kupuje scyzoryk:

— Mam tu piękną rzecz — zachęca ekspedjent — bardzo praktyczny — ma nawet cztery noże i jeden korkociąg.

— To nie dla mnie — odpowiada Pijacki — szukam scyzoryka z jednym nożem i 4 korkociągami.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI“ — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.